Wrocław 25 – 28.VIII.1948 — Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju

Stron 16 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 30 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 22–29 sierpnia 1948 r. Nr 34–35 (163–164)

W NUMERZE

między innymi:

DELEGACJA POLSKA NA KONGRES

Jerzy Borejsza

Prezes Spółdz. Wyd. „Czytelnik", Red. Nacz. „Odrodzenia".

W roku czterdziestym piątym z kraju Lincolna zaczęto straszyć świat bombą atomową, dolarami i teorią jakiejś jedynej władzy nad światem (czy to nie nowe imperium hitlerowskie?). Walce narodów o wolność własną przeciwstawiono majaki kosmopolitycznego rządu jednego kraju: — kto wie, może się uda raz jeszcze wywołać zastraszenie, histerię, niepokój, rozbroić czujność, uśpić wolę i raz jeszcze spróbować drogi, na której nie tak dawno skaputtował twórca mitu „narodu panów"?

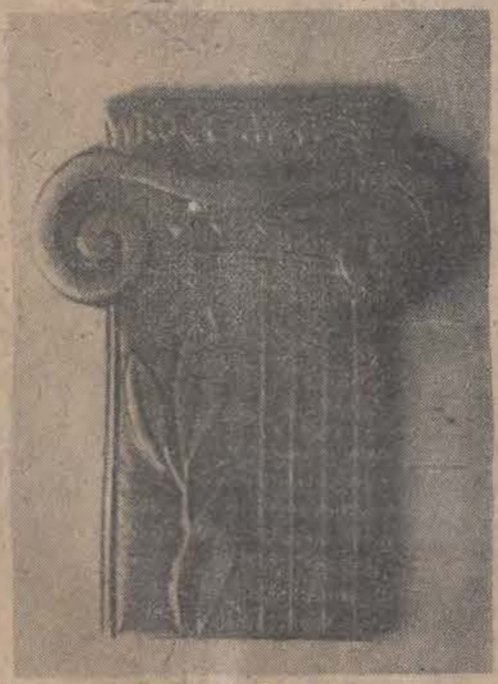
W czterdziestym ósmym roku właśnie w Polsce i właśnie we Wrocławiu po raz pierwszy po wojnie światowej spotkają się na Kongresie w Obronie Pokoju przedstawiciele świata nauki i kultury, przedstawiciele czterdziestu narodów. Jeśli przypominamy i uświetniamy tradycję kongresów okresu międzywojennego — to nam na [illegible] możemy zapomnieć, że Kongres Wrocławski odbywa się w warunkach zgoła odmiennych.

I nas jest obecnie mrowie, — nas, to znaczy obywateli krajów, gdzie zmiana ustroju społecznego i politycznego unicestwiła źródła wojen, uczyniła walkę o pokój realną i trwałą — w porównaniu z obywatelami krajów, gdzie rządzą zwolennicy nowych wojen lub ich powolni wykonawcy. Druga wojna światowa udowodniła, że walka o pokój przestaje być czczym, bezwartościowym frazesem tylko wtedy, gdy łączy się z walką o postęp. Doświadczeni podstępnymi drogami hitleryzmu, wiemy już dziś niezbicie, że nie może walczyć o pokój naukowiec czy artysta, którego twórczości nie ożywia wielka wiara w postęp, wiara w wysokie posłannictwo sztuki i nauki, — którzy nie ma optymistycznej odwagi i spokoju, wypływającego z przekonania, że gnije i rozkłada się nie kultura europejska, ale — jej grabarze. Wiemy dzisiaj niezbicie, że nie ma realnej walki o pokój bez codziennej, bezpośredniej każdogodzinnej i każdominutowej łączności z potężnym ruchem robotniczym i jego rządami, tam gdzie on zwyciężył.

„Odrodzenie" nr. 34 (195).



Jerzy Borejsza



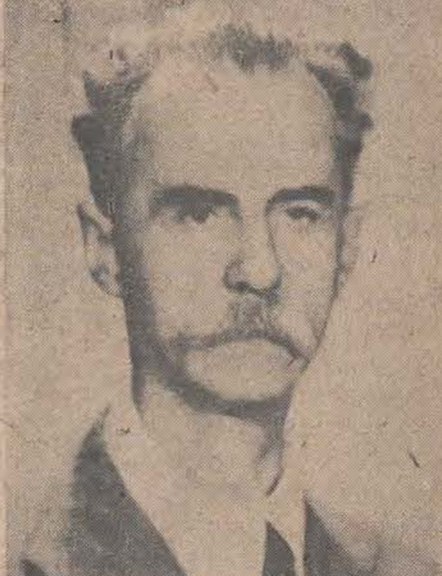
Odznaka Kongresu

Tadeusz Kotarbiński

Rektor U. Ł.

Zapytajmy na zakończenie, czy dzieje osób i gromad pozwalają uznać ludzi na ogół za plemię realistyczne? Zamiast stanowczej odpowiedzi niechaj wolno będzie zaproponować metodę. Sprobujmy tłumaczyć czyny ludzkie przede wszystkim motywami obrony przed klęską już gniotącą lub oczekiwaną... A dopiero jeśli to zawiedzie, szukajmy innych motywów... Okaże się, jak tuszymy, że dość rzadko wypadnie się uciekać do owych innych motywów... Żołnierzowi, nacierającemu w szeregach, sąd pospolity gotów przypisać chuć napastniczą jako główny motyw postępowania. Ale ci uczestnicy natarcia składają się w olbrzymiej większości z powołanych pod broń wbrew własnej chęci, pod grozą kary za dezercję. Władza zaś, która ich posłała, jakże często musiała tak uczynić, by zapobiec katastrofalnym skutkom bezbronności. Społeczeństwa boją się siebie wzajem i nie bez racji, wobec licznych doznanych od sąsiada ciosów... Trzeba tak przerobić ustrój świata, by potrzeby ludzi przestały się zahaczać jak koła pojazdów, splecione w fatalnym zderzeniu, lecz aby się zwierały tak, jak ostrza kół zębatych w maszynie. Trzeba tak przerobić ustrój świata, by obawa ludów przed ludami straciła swoją zasadność. Dotychczas dzieje globu ziemskiego ujawniały takie postępy tylko na ograniczonych obszarach czasu i przestrzeni. W skali wieków i w skali globu ziemskiego dominował stan zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych. I ludzie dorośli byli i są na ogół realistami praktycznymi, jakkolwiek nie byli i nie są nimi w pełni. Gdyby bowiem powszechnie i na serio wyznawali realizm praktyczny w myślach i czynach, nie byłoby na świecie tyle płaczu i zgrzytania zębów, ile się rozlegało i rozlega na tej planecie nieskończenie pięknej i jak dotąd — nieskończenie straszliwej.

„Myśl współczesna" Nr 5 (24), maj 1948.



Prof. dr Tadeusz Kotarbiński

Jarosław Iwaszkiewicz

ODA TRZECIA „NA BIEG MARATOŃSKI"

STROFA PIERWSZA

Radujcie się!
Nasze jest zwycięstwo!

Wy, na najpiękniejszych stadionach Europy zgromadzeni, wy najpiękniejsi, czujący w mięśniach piękno wasze i piękno waszych krajów.
Wy, wyhodowani szumem Niagary i pluskiem oceanów, karmieni winem i chlebem pozłocistej Francji, odziani wełną zielonych wysp Erynu,
wyhodowani, wykołysani szumem mórz i motorów, upojeni szlakami fal i niebios,
wsłuchani w ciszę Alp i szum lodowcowych wodospadów,
zatrzymujący się pod łukami zrujnowanych akweduktów,
słuchający gitary i mandoliny, rozbrzmiewających po dolinach, pełnych strzelistych topoli,
wy ze stepów argentyńskich i puszcz brazylijskich,
wy, którzy biegniecie drogą greckiego żołnierza, który padł krzycząc: radujcie się! nasze jest zwycięstwo!
Pamiętajcie dobiegając do mety, aby wznieść ten sam okrzyk.
A odkrzyknie wam cały świat!
Kiedy tak oto widzę was biegnących — teraz, kiedy jeszcze nie biegniecie,
i kiedy schowani w swoich muszlach jeszcze jesteście nieznani, przyszli zwycięzcy spod Maratonu,
i kiedy jesteście jak motyle w powijakach jedwabnych kokonów,
i kiedy myślicie tylko o sobie,
ja myślę za was — i widzę już w słońcu i triumfie wasze uśmiechnięte twarze.

ANTYSTROFA PIERWSZA

Ale kiedy widzę tak wasze młodzieńcze oblicza wynurzające się w przyszłości,
widzę także i tych, którzy do mety nie dobiegli.
Biegli jak na skrzydłach,
ale na spotkanie śmierci.
Śmierć ich była okrutna i żałosna, i samotna, hańbiąca i beznadziejna,
padali na wznak i na twarz i niezamkniętym okiem patrzyli w niebo,
i zwartymi garściami ściskali ten sam żółty piasek, jakim wysypane są wasze bieżnie... .
I nikt nie pamięta, że bieżnie waszych najpiękniejszych w Europie stadionów posypane są piaskiem pomieszanym z krwią,
i nikt nie chce wiedzieć, że w tym piasku drzemią kawałki połamanych mieczów i bagnetów, łuski wystrzelonych pocisków,
z których narodzić się mogą całe miecze i bagnety, całe wstążki naboi, cała śmierć i całe zniszczenie.
Zakopano je głęboko pod piaskiem waszych stadionów.
Abyście biegnąc nie zranili nogi.

Ody Olimpijskie. Sp. Wyd. „Wiedza", 1948.



Jarosław Iwaszkiewicz prezes Z.Z.L.P.

Jan Dembowski

Prof. biologii U. Ł.

Bezpośrednio wiąże się z tym drugi moment: rola społeczno-państwowa nauki. Stanowisko uczonego jest w Związku Radzieckim szczególnie zaszczytna. I rząd i społeczeństwo rozumieją jasno, że nauka jest wielką potęgą, z którą nikomu nie wolno się nie liczyć, że od stanu nauki zależy dziś byt państwa i że państwo jest bezpośrednio zainteresowane w popieraniu nauki wszelkimi środkami. Ale też uczony poczuwa się tu do obowiązku utrzymywania ścisłego kontaktu ze społeczeństwem, najwybitniejsi badacze znajdują czas na pisanie artykułów popularnych i wygłaszanie odczytów publicznych, nie obawiając się „wulgaryzacji" nauki lub „obniżania jej poziomu". Dominuje zaś w nauce kierunek stosowany, opracowuje się przeważnie zagadnienia, mające znaczenie państwowe. Uważa się tu bowiem, że nadmierna indywidualizacja badań, jest raczej szkodliwa dla nauki, niż pożyteczna, gdyż znaczna większość pracowników naukowych składa się z wykonawców i odtwórców, dla których wybór opracowywanych zagadnień jest w znacznej mierze sprawą przypadku. Podkreśla się, że twórcza praca badawcza jest udziałem bardzo nielicznych, znakomita zaś większość pracowników na polu nauki marnuje swoje siły, rozwiązując zagadnienia, które dla istotnego rozwoju nauki mają małe znaczenie. Uważa się też za rzecz słuszną, aby państwo wzięło udział w wyborze opracowywanych zagadnień. Skierowanie indywidualnych wysiłków ku uchwytnym celom podnosi potęgę państwa, nie przeszkadzając wyżyciu się jednostek w pracy badawczej. Jednostki prawdziwie oryginalne i twórcze, wędrujące własnymi drogami, zawsze znajdą poparcie państwa i zrozumienie społeczeństwa, chociażby tematy ich prac nie obiecywały natychmiastowych zdobyczy praktycznych.

Zarazem wskazuje się na to, że rozwiązanie w skali państwowej, wielkiego zagadnienia praktycznego jest możliwe jedynie w drodze uprzedniego rozwiązania wielu problematów specjalnych, które często mają dużą wagę teoretyczną, a które nie byłyby w ogóle powstały, gdyby nie były szczeblami ku osiągnięciu wytkniętego celu. W ten sposób nie tylko nauka służy sprawom państwa, ale i odwrotnie, stawiane przez państwo zadania praktyczne, wzbogacają naukę przez powołanie do życia nowych zagadnień teoretycznych.

Nauka Radziecka. Sp. Wyd. „Książka". 1947.





Prof. dr Jan Dembowski

Stefan Żółkiewski

Redaktor naczelny „Kuźnicy"

Rytm rozwoju nauki jest zasadniczo ten sam, co rytm rozwoju społeczeństwa. Krzywa rozwoju myśli badawczej nie jest wstępującą linią prostą znaczącą postęp gromadzenia faktów i krytycznego oczyszczania teoryj. Rozwój nauki nie da się porównać do rzeki płynącej ciągle naprzód tym samym, coraz szerszym i coraz głębszym łożyskiem. Myśl teoretyczna przeżywa historyczne okresy dekadencji, odradza się poprzez rewolucyjne przełomy. Nie stanowi nieprzerwanego ciągu, gdzie każdy krok nowy tłumaczy się bez reszty poprzednimi. Nauka w swoich dziejach zna wkłady twórcze, zna przykłady nowatorstwa — poczynającego epokę nową, naukę nową w całym tego słowa znaczeniu, nowatorstwa, które umie radykalnie oczyścić dorobek przeszłości z tego co przestarzałe, a przyjąć natomiast i podnieść na wyższy poziom wartości trwałe. Taką współcześnie jest twórcza rola marksizmu w historii wiedzy ludzkiej.

Kuźnica nr. 28.



Stanisław Kulczyński

Rektor Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej

Wzmożony napływ młodzieży w mury naszej Szkoły uważamy za zjawisko dodatnie mimo trudności, jakie on za sobą pociąga. Przyszłość nauki i kultury polskiej zależy między innymi od stworzenia szerokich rzesz konsumentów kultury i nauki. Nauka polska i polska twórczość kulturalna nie będzie rozwijać się tak długo, jak długo na rynku społecznym polskim nie pojawi się liczny konsument książki i produkcji naukowej. Upowszechnie pędu do wykształcenia wyższego, które wniosły ze sobą powojenne reformy społeczne wnosi ze sobą elementy pozytywne dla rozwoju nauki mimo trudności, jakie doraźnie sprawia nadmierny napływ młodzieży, absorbując wszystkie siły personelu naukowego, powołanego poza dydaktyką do twórczej naukowej pracy. Trudności te pokonać będziemy musieli przez usprawnienie nauczania, a nie przez odmowę wstępu na uczelnie garnącej się młodzieży. Osiągnięcie tego postulatu nie jest dzisiaj możliwe w pełni wobec skrajnej redukcji środków nauczania i przestrzeni.

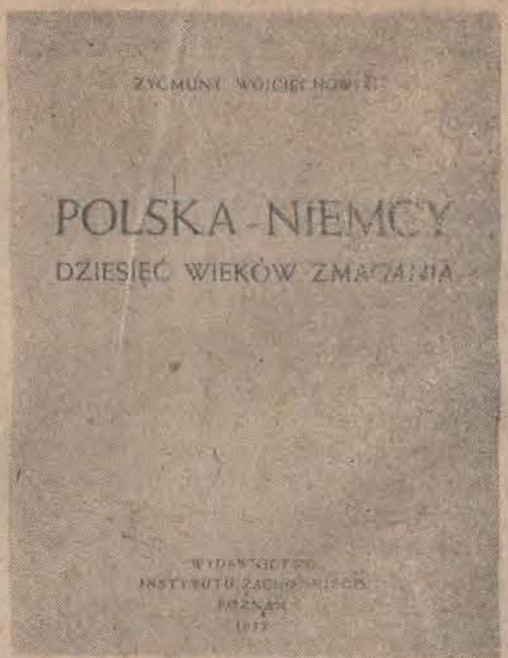
Skala stojących przed nami zadań i zagadnień zmusza nas do poszukiwania nowych form organizacyjnych. W dziedzinie tej osiągnęliśmy pewne sukcesy. Zjednoczyliśmy wydziały politechniczne z uniwersyteckimi w jedną organiczną całość. Skasowaliśmy tym sposobem przeżytą hierarchię nauk, podkreślając ich jedność i równość. Uzyskaliśmy tą drogą silniejsze podbudowanie nauk technicznych teorią, ogniskującą się w wydziałach uniwersyteckich; jednocześnie zaś wprowadziliśmy na wydziały uniwersyteckie prąd świeżego powietrza, wiejący od młodych technicznych nauk. Osiągamy tym sposobem dyktowaną duchem czasu równowagę pomiędzy humanistyczno- przyrodniczym kierunkiem nauk. Rozluźniliśmy izolacjonizm wydziałów i oparliśmy nauczanie w naszej zjednoczonej Uczelni o ich kooperację. Równocześnie usiłujemy jednoczyć katedry pokrewne z różnych wydziałów w instytuty badawcze, oparte o kooperację katedr. Osiągamy tym sposobem intensyfikację pracy naukowej przy maksymalnej oszczędności środków.

Naczelną naszą troską jest rozbudzenie żywego ruchu naukowego w naszych instytutach i katedrach. Wychodząc z założenia, że trzeba się związać z wielkimi sprawami, aby rozwijać się, rość równolegle z rozwojem wypadków, związaliśmy nasze prace i nasze środki z planem trzyletnim odbudowy kraju. Nawiązujemy kontakt z przemysłem celem włączenia nauki w rozbudowę i organizację przemysłu na Ziemiach Odzyskanych. Pragniemy problematyką współczesnego życia narodu ożywić ruch badawczy w naszych pracowniach i seminariach.

Mowa rektorska wygłoszona na inauguracji r. akad. 1946/47.



Prof. dr Józef Chałasiński



Józef Chałasiński

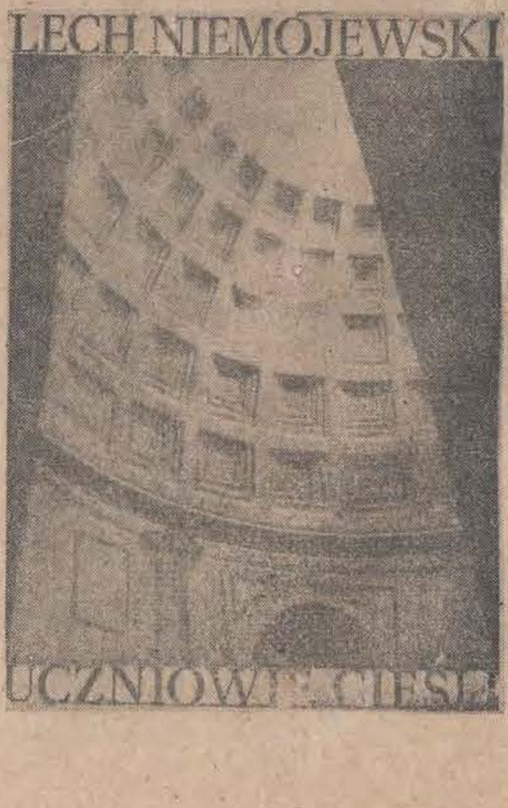
Profesor socjologii U. Ł.

Dla zrozumienia życia społecznego, zarówno budowy społeczeństwa jak i rozwoju społecznego, jest rzeczą bardzo ważną zdawanie sobie sprawy z tego, że idee społeczne, wytwarzane w życiu społecznym nie są tworami czysto intelektualnymi. One mają także charakter moralny, określający działania ludzkie, jako pozytywne lub negatywne z punktu widzenia wymagań społeczeństwa. Idea narodu, jako całości społeczno moralnej, która w rewolucji francuskiej dawała sankcję moralną dla wolnościowych dążeń mieszczaństwa i innych klas upośledzonych, dla zwycięskiej mieszczańskiej arystokracji, staje się następnie sankcją moralną ich walki z klasą robotniczą.

Społeczeństwo i Wychowanie. Instytut Wydawniczy „Nasza Książka" 1948.



Roman Palester





Ludwik Hirszfeld

Prof. bakteriologii U. Wrocł.

Książka ta była pisana w roku 1939 i 1940 w bardzo ciężkich warunkach, gdy pozbawiony przez okupanta warsztatu pracy byłem oderwany od działalności naukowej i dydaktycznej. Pomocną mi była moja długoletnia wierna współpracowniczka p. Róża Amzelówna. Rozdział XXVIII „O biochemicznych podstawach swoistości" został według Marracka opracowany przez Nią. Był to umysł subtelny i krytyczny, miała piękny sposób wykładania i doskonałe pióro. Nie było Jej dane dożyć do końca wojny: została zamordowana przez Niemców w roku 1943. Jest to nie tylko mbim obowiązkiem, ale i potrzebą serca, by podkreślić w tym miejscu Jej wielki zapał do pracy naukowej i dydaktycznej i oddać hołd zarówno Jej umysłowi, jak i sercu. Cześć Jej pamięci!

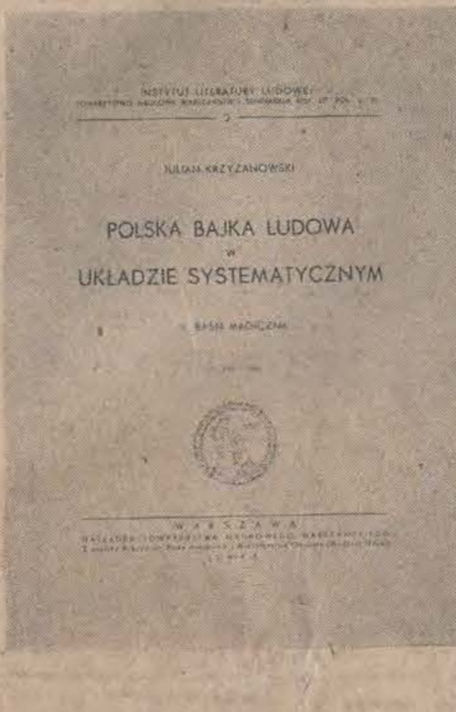
Przez kilka lat byłem zmuszony ukrywać się przed okupantem pod obcym nazwiskiem. Manuskrypt ten przechowywali: prof. Zygmunt Szymanowski, prof. Marcin Kacprzak, prof. Feliks Przesmyski i pani Königowa, u której w czasie okupacji znaleźliśmy schronienie. Manuskrypt musiał być trzykrotnie przepisywany i przenoszony z miejsca na miejsce. Wielkiej tej pracy dokonała pani Izabela Kiełbasińska. Korekty językowej dokonała pani doktorowa Julia Sokołowska. Wszystkim tym wiernym przyjaciołom w chwilach niedoli składam wyrazy podziękowania i wdzięczności.

Wstęp ten pisany jest innym stylem, niż się zazwyczaj pisze podręczniki. W moich wspomnieniach, które zostały ogłoszone w innym miejscu, nazwałem go „Moja pieśń wieczorna". Pisałem go ukrywając się przed okupantem, w myśli, że nie przeżyję tej wojny i pragnąc pożegnać się z młodzieżą. Los zrządził, że będzie mi dane cieszyć się oddźwiękiem myśli tu wypowiedzianych. Pozostawiam jednak dawny wstęp jako pamiątkę wielkich cierpień, odzwierciedlającą stan ducha badaczy polskich.

Immunologia ogólna. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik" 1948.



Prof. dr Tadeusz Lehr-Spławiński prorektor U. J.



NA KONGRES POKOJU

W niewielkiej pracy o proletariacie wydanej w pierwszych latach XX wieku Sombart opisuje tragiczne położenie niemieckich robotników. Mimo to w obszernej pracy „Bourgeois"—z pasją— opisuje wielkość i zasługi kapitalistów, apoteozując imperializm — i kończy: „Co będzie, gdy kiedyś duch kapitalistyczny straci swą dotychczasową energię — nas to nie interesuje. Być może olbrzym ślepy już — będzie zmuszony ciągnąć demokratyczną landarę. A być może, będzie to jutrzenka bogów. Może Ren napowrót odzyska złoto". A wielki idealista Spranger pisał: „uniwersytet... musi pozostać instytucją selekcyjną, arystokratyczną. Profesor uniwersytetu musi dążyć do góry, rozpowszechnianie wiedzy w szerokich masach społeczeństwa powinien zostawić innym".

Między nędzą mas pracujących a pozorną niezależnością myśli intelektualnej rozpościerała się bariera. Ci, którzy humanistykę zaliczali do dziedziny „nauki o duchu" porodzili między innymi tych, którzy dowodzili, że człowiek jest tylko „zwierzęciem rabunkowym" (Spengler) i budowali fatalistyczne i napoły mistyczne teorie o nieuniknionej konieczności wojny dla wojny i mordowania dla mordowania.

Zamknięte w kręgu „czystej" wiedzy uniwersytety uległy łatwo naciskowi „ducha" hitlerowskiego. Prócz niewielkiej garstki elity intelektualnej — znaczna większość uczonych i pisarzy niemieckich pokornie pochyliła głowy przed naporem siły „wyższej". Naprzód pozwolili się zakazić kłamstwem antysemityzmu, później z ulgą przyswoili sobie mitologię rasy, a w konsekwencji zrezygnowali z wiedzy, kultury i humanizmu. Stanęli pod sztandarem wojny.



Prof. dr Wacław Sierpiński

Narastaniu kultury wojennej odpowiadał opór kultury pokoju. Gorkij, Rolland, Barbusse, Haldane i wiele innych wybitnych umysłów rozpoczęło walkę o skupienie wszystkich sił antywojennych i antymilitarystycznych.



„Współczesne nam narodowe ugrupowania bankierów i fabrykantów oraz inne typy pasożytów szykują się do nowej walki o władzę nad Europą, o nieograniczoną swobodę grabieży kolonialnej i grabieży ludu pracującego w ogóle — pisał w 1935 roku Gorkij w liście do obradującego w Paryżu Międzynarodowego Kongresu Pisarzy w Obronie Kultury.—Ta walka ma na celu wyniszczenie ludów. Wymaga ona nie tylko całkowitego wyrzeczenia się „fundamentów kultury" i humanizmu mieszczańskiego. Ta nowa... jatka ludzka organizowana przez faszyzm ocenia ideę humanizmu jako ideę wrogą jej zasadniczym celom".

W trzy lata po hekatombie ofiar znów zbiera się Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. W innym miejscu, w innych warunkach, w innej sytuacji politycznej — ale z tymi samymi hasłami, które głosił wielki Gorkij.

Zbiera się we Wrocławiu, który jeszcze niedawno był ośrodkiem barbarzyńskiej ekspansji faszyzmu na narody wschodu Europy — z którego Hitler rzucał hasła wytępienia całej Słowiańszczyzny, — a dziś zamieniony został przez naród polski w ośrodek pokoju i demokratycznej myśli.

Będzie obradował w warunkach wielkiego wzrostu sił demokracji i pokoju. Gdy coraz szerzej roznosi się krzyk: „Precz z wojną i imperializmem". Gdy rozszerzyła się niepomiernie granica państw demokratycznych i pokojowych a uciśnione masy ludów kolonialnych i ujarzmionych, w coraz to innym miejscu rozpalają pochodnię walki o wolność i samodzielność. Kiedy w Kongresie Amerykańskim okryta żałobą matka krzyczy, w momencie uchwalania budżetu wojskowego: „Nie oddam wam swego ostatniego syna."

Jej głos nie dotarł do wnętrza ministerialnych gabinetów.

Ci, którzy dziś przeciwdziałają woli swych narodów i wbrew krzykowi matek—grożą światu bombą atomową, a tych, którzy mają dość odwagi, by głosić prawdę i pokój—wtrącają do więzień. Rozpalają antagonizm narodowy. Głoszą hasła wyższej rasy. Po co?

Faszystowskie metody rozbrajania moralnego narodów są wszędzie i zawsze te same.

Znajdują być może „mędrców" którzy ich hasła uzasadniają „naukowo". Tworzą jednak legiony bojowników, którzy mają dość odwagi i jasności umysłu, by stanąć w obronie uciśnionych, okłamanych—i pokoju.

Czyż nie dziw, że w trzy lata po zakończeniu wojny najstraszniejszej ze strasznych — na ziemi Oświęcimia, Majdanka i Gross-Rosen — intelektualiści i pisarze znów radzą jak zabezpieczyć i wywalczyć pokój.

Wojna nie nauczyła bowiem niczego tych, którzy uważają ją za źródło zysków i dochodu.

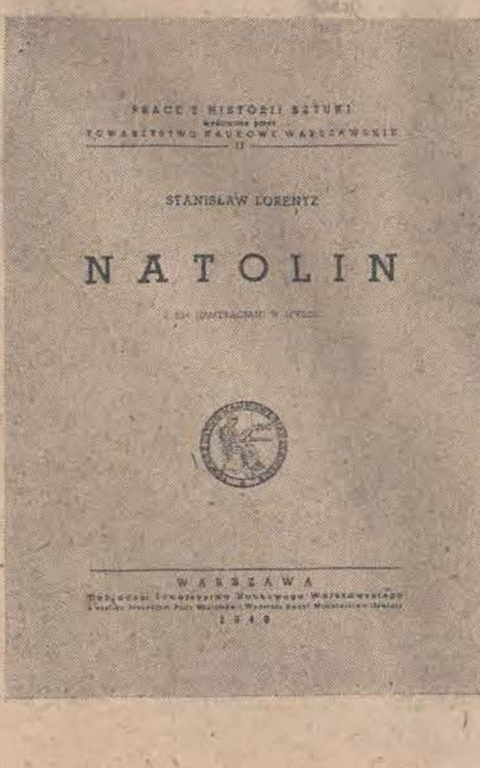
Nauczyła zaś dużo, bardzo dużo tych, których pozbawiła mieszkań i rodzin, otoczyła gruzami i zniszczeniem. I bezsprzecznie tych, którzy swoją wiedzę oddali wielkiej sprawie człowieka i wolności.



Prof. dr Rafał Taubenszlag

Donośny głos Wrocławskiego Kongresu usłyszą już niewątpliwie podżegacze wojenni. Być może nie zechcą go zrozumieć. Tym gorzej dla nich. Być może otoczą go mgłą kalumnii i kłamstwa. Ale kłamstwo, jak bumerang, rani nieraz oszczercę.

Bez wątpienia jednak głos Wrocławia dotrze do narodów walczących i broniących swego bytu i wolności, i dotrze do tych, którzy wyczekują słowa otuchy i pokrzepienia. Usłyszą go narody, które rozdarły brutalną obręcz kapitalizmu, bądź znajdują się z nim w śmiertelnej walce. Usłyszą go masy. Nie będzie chciała słyszeć garść zakłamańców.



Czyż nauka i myśl nie nabiorą przez to większej wzniosłości? Że przestały służyć tylko sobie i tym, którzy je obracali na szkodę ludów. Że przestały być niewolnicami możnych i stanęły pod wielkim sztandarem narodów walczących o wolność i pokój.

A nauka zasilona energią i optymizmem mas ludowych — stanie do walki z barbarzyństwem i ciemnotą imperialistyczną wzmocniona, silniejsza, trwalsza. I być może, wbrew zakusom podżegaczy stanie się jedną z tych barier, które tamują agresję narastającego faszyzmu i których coraz więcej na świecie.

REDAKCJA



Prof. dr Wojciech Świętosławski

Leonard Sobierajski

ŻYCIE NAUKOWE WROCŁAWIA

„Niedość, by myśl szukała urzeczywistnienia, trzeba jeszcze, by rzeczywistość szukała myśli" (Karol Marks).

Nowa rzeczywistość powojennej Polski — ustrojowa, gospodarcza i geopolityczna wymaga właśnie szukania myśli.

Prawidłowo zaplanowany rozwój życia naukowego jest jedną z najżywszych trosk naszego państwa. Chodzi o to, by badania naukowe poszły w kierunku, gwarantującym społeczeństwu w strukturze demokracji ludowej pełne zaspokojenie potrzeb materialnych i duchowych, chodzi o to, by nasza produkcja naukowa mogła służyć i ludzkości. W tak wyznaczonym kierunku badań warunkiem rozstrzygającym jest ich planowość. Ustalmy momenty determinujące podjętą w tym kierunku akcję. Włodzimierz Sokorski w referacie, wygłoszonym na drugiej ogólnokrajowej konferencji rektorów i profesorów wyższych uczelni mówił: „Pierwszym warunkiem wolności i powiedziałbym pierwszą jej przesłanką jest poznanie praw przyrody, opanowanie ich i uzyskanie w ten sposób danych dla podjęcia systematycznej działalności w celu maksymalnego wykorzystania wykrytych praw, zgodnych z potrzebami człowieka. Ten proces poznania i wykorzystania praw przyrody może być tylko wynikiem naukowego poznania, a nie bezpłodnego zaprzeczania możliwości wykrycia prawdy obiektywnej."

„Drugim warunkiem wolności i powiedziałbym drugą jej przesłanką jest poznanie praw rozwojowych ekonomiki ludzkich społeczeństw oraz całej jej nadbudowy ustrojowo-ideologicznej, uchwycenie tych praw w ich ruchu, zamieraniu i stawaniu się, na tej drodze podjęcie systematycznej, naukowo sprecyzowanej działalności dla świadomego i planowo przemyślanego zorganizowania społeczeństw ludzkich zgodnie z historycznymi prawami rozwoju. I znowu ten proces może być tylko wynikiem naukowego poznania, a nie filozoficznego czy praktycznego zaprzeczenia istniejącej realnej rzeczywistości."

„Trzecim warunkiem wolności i trzecim warunkiem wszelkiego naukowego badania jest poznanie praw wewnętrznego działania i kojarzenia świadomości tak złożonej istoty, jaką jest istota ludzka, przy tym należy pamiętać, że wolna wola jest tylko zdolnością decyzji zgodnie z poznaniem praw obiektywnych, warunkujących rzeczywistość, a więc naukową sprawdzalność każdej decyzji".

Z tego sformułowania wynikają postulowane cele działalności badawczej. Zapewnić człowiekowi wolność wobec przyrody poprzez poznanie rządzących nią praw i tym samym wykorzystanie jej sił na dobro człowieka, zapewnić człowiekowi wolność poprzez danie mu wiedzy o prawach rządzących procesem kształtowania się społeczeństw, zapewnić mu wolność uświadamiając go, że jego osobowość jest tworem, zdeterminowanym historycznie i wyznaczonym jego zdolnością do opanowania przyrody z jednej strony, a z drugiej wynikiem dotychczas kształtujących go struktur społeczno-kulturowych.

Tak pojęta praca naukowa służy człowiekowi, służy kulturze i pokojowi.

Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju odbywa się w Polsce, odbywa się we Wrocławiu. Miasto to pełne ruin — śladów wojny, a równocześnie wypełnione znakami nowego życia będzie tłem, na którym rozegra się próba rozpatrzenia możliwości harmonijnego współżycia narodów w ramach systemu, gwarantującego poszanowanie właśnie wolności, właśnie kultury i twórczej pracy dla dobra całej ludzkości.

Z tego bliższego tła Kongresu wypruję jeden tylko, ale najbardziej ważki wątek — środowisko naukowe Wrocławia. Wystąpi tu problem, na ile ten element tła Kongresu współgra z tym wielkim wydarzeniem, które wszyscy ludzie dobrej woli będą śledzili z najwyższym napięciem.

*

W przedziwnych warunkach zaczęło się kształtować życie naukowe Wrocławia. Nie będę tu sięgał do tradycji XIX-wiecznych, które mówią jak żywo pulsowała polska myśl naukowa na gruncie wrocławskiego niemieckiego uniwersytetu. Odsyłam czytelnika do pięknego szkicu Tadeusza Mikulskiego: „Towarzystwo literacko-słowiańskie we Wrocławiu (1836—1888)" *). Przedmiotem mojego zainteresowania będzie grupa ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach, bez żadnych warsztatów naukowych, bez żadnych początkowo urządzeń rzeczowych dźwigali myśl naukową i osiągają dziś wyniki, z którymi śmiało mogą stanąć wobec ludzi nauki, którzy będą obradowali nad obroną pokoju we Wrocławiu.

Słyszy się dzisiaj utyskiwania, że literatura nie daje pełnego obrazu grozy wojennej, że nie potrafi przedstawić w sposób sugestywny i plastyczny straszliwych konsekwencji tej wojny. Mamy jednak dokumenty, mamy relacje, które nie pretendują do literackości, ale w swoim bezpośrednim oglądzie dają opis pełen żywej i tragicznej prawdy.

W płonącym jeszcze Wrocławiu, tuż po kapitulacji Niemiec grupa polskich uczonych z profesorem Stanisławem Kulczyńskim na czele znalazła się w tym mieście dla zabezpieczenia majątku uniwersyteckiego. Oto relacja obecnego rektora uniwersytetu wrocławskiego „Idziemy dalej. Na miejscu seminarium filologii nowożytnej Instytutu Antropologii i seminariów matematycznych zastajemy szare, dawno wystygłe zgliszcza. Z wielkiego czerwonego gmachu fizyki zostały tylko kulisy wypalonych murów. Jedynie w piwnicach budynku napotykamy na baterie akumulatorów, kilka motorów elektrycznych i trochę narzędzi warsztatowych... W zasypanym korytarzu potykam się o wystający kawałek metalu. Rozpoznaję w nim stopiony tubus mikroskopu Zeissa. Spod białego i zimnego popiołu wystaje kilkanaście czubków metalowych podobnego rodzaju. Są to ustawione czyjąś dłonią na podłodze precyzyjne mikroskopy — wszystkie w podobnym stanie. Rzucam okiem na ogród. Szklarnie rozbite, pełne wymarzniętej i wyschniętej kompletnie roślinności. Podchodzimy do gmachu instytutów botanicznych. Czuję lekki ucisk koło serca, gdyż ma to być mój przyszły warsztat pracy naukowej... Budynek wydaje się cały. Niestety jest to złudzenie. Tył gmachu uderzony bombą i zawalony".

„Zbliżający się wieczór każe nam wracać do domu. Na kwaterze zastaję grupę moich towarzyszy, którzy powrócili z podobnych wypraw w głąb miasta i wysłuchuję sprawozdań. Niestety, nie brzmią one pomyślnie. Pułkownik Ciałowicz raportuje, że wszystkie muzea miejskie leżą w gruzach... Raport z placu Augustów donosi, że wszystkie budynki zakładów etnologii, historii sztuki i archeologii leżą w zgliszczach. Fundowany przez Rockefellera instytut neurochirurgii zniszczony doszczętnie..."

„Około 8-ej rano wpada goniec: „Biblioteka uniwersytecka płonie". Zabieram pozostałych ludzi i biegiem udajemy się na Kępę Piaskową. Na miejscu stwierdzam, że ogień w parterze biblioteki uniwersyteckiej zgodnie z naszymi przewidywaniami wczorajszymi wygasł niemal zupełnie i od tej strony nie zagraża nic złożonym po przeciwnej stronie ulicy księgozbiorom. Natomiast budynek Instytutu Wschodniego, sąsiadujący od południa z kościołem św. Anny zastajemy w ogniu. Zajął się od pożaru podłożonego w przylegających doń kamienicach. Wpadamy do nawy kościoła, gdzie leżą książki i zastajemy sytuację groźną. Dach kościoła płonie, a palące się iskry zaczynają osypywać się przez olbrzymi otwór wybity w sklepieniu. Moi chłopcy rzucają się z determinacją na ratunek. O wodzie nie ma mowy... Próby ratunku ograniczają się do usuwania osękami spadających palących się kwaczy i odrzucania za burtę książek, które rozpoczęły się tlić. W tym momencie rozlega się ogłuszający huk wybuchu. Przez rozwalone sklepienie kościoła i rozbitą bramę wpada chmura czarnego, gorącego i pełnego iskier pyłu. Ogarnia nas ciemność. W tym momencie rozlega się nowy wybuch i huk walących się murów. Idę do Prezydenta (Drobnera) i zastaję go w gronie współpracowników zarządu miejskiego, odbierającego sprawozdanie dzienne. Składam raport, że biblioteka uniwersytecka nie istnieje..."

W takiej sytuacji polscy uczeni przejmowali nowe warsztaty pracy. Wypalone mury budynków, popioły po bibliotekach, zniszczone aparaty naukowe. Ostała się Politechnika. Zabezpieczył ją oficer radziecki Borys Nikołajew Orłow i przekazał inż. chemikowi Dionizemu Smoleńskiemu, który mi oświadczył, że w Politechnice nie zabrakło wówczas ani jednego gwoździa. Borys Nikołajew Orłow był inżynierem i z miłością strzegł dobra naukowego.

Do pierwszej grupy profesorów w tych dniach ognia, grozy i walących się murów dołączyli się Polacy z wrocławskiego obozu jeńców. Spośród nich profesor Marczewski z warszawskiego uniwersytetu — matematyk, uratował wszystkie prywatne księgozbiory profesorów niemieckich wydziału matematycznego, sam wynosząc z płonących i rabowanych domów cenne dzieła naukowe. Do tego właśnie Wrocławia, który dymi jeszcze przez cztery tygodnie, z każdym dniem napływały coraz nowe siły.

Ściągają profesorowie różnych specjalności: geolodzy, geografowie, historycy, prawnicy. Pierwsza grupa z pamiętnych dni liczyła 26 osób, w tym kilku profesorów, reszta to asystenci i pięciu studentów. Zadaniem ich było zabezpieczyć majątek uniwersytecki. Proste i niewinne dziś zdanie: „zabezpieczyć majątek uniwersytecki". Przysłowiowa jest nieporadność uczonych. Casus Wrocław zadał temu kłam. Profesorowie, asystenci i studenci z bronią w ręku zajmowali obiekty naukowe. Wśród ognia i walących się gruzów ratowali sprzęt naukowy i książki. Znaleźli się pierwsi w mieście wespół z Prezydentem miasta Drobnerem i garstką urzędników administracji. Profesor Kulczyński zorganizował własną „armię" z 300 uzbrojonych studentów. Zabawny był moment, gdy komendant wojskowy, mający chronić miasto zwrócił się wówczas w pewnej chwili do Rektora Kulczyńskiego z prośbą o pomoc wojskową. Atmosfera, w jakiej pracowała ta pierwsza grupa, jej sprężystość i zdolność do opanowywania najtrudniejszych sytuacji nadały ton coraz bardziej powiększającej się grupie projektowanego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wyszedł odpowiedni dekret Ministra Oświaty o otwarciu Wyższej Uczelni we Wrocławiu. Trzeba było stawiać budynki, zdobywać urządzenia naukowe, gromadzić personel. To były letnie miesiące 1945 roku. Na jesieni ruszył Uniwersytet i Politechnika jedenastoma wydziałami. Grupa profesorów wrocławskich to bardzo specyficzna grupa. Związała ją silnie całkiem nowa sytuacja, związały silnie zadania, jakie przed nią stawiała rzeczywistość. Trzon tej grupy stanowili profesorowie Uniwersytetu i Politechniki Lwowskiej. Dołączyli do niej wolontariusze z Warszawy, Krakowa i Wilna. Atmosferę, jaka panowała w środowisku uczonych wrocławskich najlepiej charakteryzują przemówienia rektorskie. Jest w nich coś z rozkazów dziennych. Bo i była to walka. Ambicją grupy było stworzenie silnego ośrodka naukowego o podwójnych celach. Wydział Humanistyczny stanął wobec zadania skontrolowania i obalenia zafałszowanych wyników nauki niemieckiej w sprawie polskości Górnego, Opolskiego i Dolnego Śląska; specjaliści od nauk ścisłych: geolodzy, geografowie, przyrodnicy, fizycy, chemicy, lekarze stanęli wobec konieczności opanowania swoją wiedzą nowego terenu, pełnego jego zbadania i przekazania swojej wiedzy Państwu. Wrocławski ośrodek naukowy charakteryzowała i charakteryzuje nadal jedna cecha — ścisłe związanie z potrzebami życia. Znaleźli się tu ludzie, którzy właśnie ten typ badań naukowych uprawiali od dawna. Przykładem może tu być profesor dr Hugo Steinhaus, stosujący swoją wiedzę matematyczną do potrzeb życia praktycznego.

Mój opis dzisiejszego Wrocławia naukowego będzie z konieczności fragmentaryczny. Wybiorę tylko kilka elementów dla jego ilustracji. Interesuje mnie kształtowanie się życia naukowego Wrocławia, interesują mnie determinanty tego życia. Gdy będę wspominał o wydziałach Uniwersytetu czy Politechniki to tylko jako o narzędziu pomocniczym, jako o bazie, na której może dokonywać się praca badawcza. Nie będę mówił o uczelni jako miejscu kształcenia dydaktycznego bo to już jest inny problem. Zajmę się tym, co stanowi zasadniczą treść, która równocześnie przekazywana jest w tym kształceniu wraz z jej duchem i metodą.

Do najmocniejszych wydziałów Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej należą Wydział Matematyki, Chemii i Fizyki, Wydział Przyrodniczy i Wydział Nauk Lekarskich. Jakie mają one osiągnięcia? Przyjrzyjmy się warsztatowi naukowemu prof. Steinhausa. Powiedzieliśmy już, że w jego pracach wiedza matematyczna utylizuje się jak najściślej, służy potrzebom życia społecznego. Prof. Steinhausa znamy jako twórcę „introwizora". O wartości tego aparatu dzisiaj już wszyscy wiedzą. Czytelnik dowie się o nim z fragmentu opisu tego wynalazku, który sam prof. Steinhaus podaje w bieżącym numerze „Wsi".

Matematyka stosowana jest ideą uczonego. Pracuje on dzisiaj nad całym szeregiem zagadnień których rozwiązanie oddaje duże usługi właśnie praktycznemu życiu. Można tu wymienić kilka spraw, które pokażą nam czym może być wiedza ścisła w życiu praktycznym. Profesor pracuje nad zagadnieniem rachunku prawdopodobieństwa. Istnieje taki problem. Nasz przemysł wysyła np. wyprodukowane u nas gwoździe za granicę. Chodzi o to, aby mieć pewność, czy transport odpowiada określonemu zamówieniu, czy w wagonie gwoździ nie znajduje się ilość egzemplarzy złych taka, która by zdyskwalifikowała ekspediowany towar. Ścisłe wyliczenie matematyczne oparte na rachunku prawdopodobieństwa określa nam w sposób najdokładniejszy, czy towar odpowiada określonym warunkom. Prof. Steinhaus ma na swoim warsztacie cały szereg tego typu zagadnień. Wymieńmy ich kilka: zagadnienie stawek akordowych i norm pracy, zagadnienie taryfy elektryczności, indeks urzeźbienia terenu (pozwala to na szybkie wykreślenie mapy danej okolicy, co orientuje, gdzie warto np. pojechać na wycieczkę). Prof. Steinhaus jak najściślej jako matematyk współpracuje z lekarzami; bada możliwości prognozy przy leczeniu penicyliną, bada przy pomocy narzędzi wiedzy matematycznej problem granolucytozy ciałek krwi. Istotą wrocławskiego środowiska naukowego jest koordynacja pracy, obdzielanie się i służenie własnymi wynikami, poszczególną specjalnością. Medycy współpracują tu z matematykami, z elektrykami, prawnicy służą specjalistom od planowania przestrzennego, inżynierom i architektom. Ta współpraca znajduje swoje formy w instytutach. Praca na gruncie instytutu daje efekt ścisłego powiązania wiedzy teoretycznej z wiedzą praktyczną. Najlepszą tego ilustracją jest jedność organiczna nie tylko w ramach administracji, ale właśnie przez typ uzupełniających się badań — Uniwersytetu i Politechniki. Sprawa instytutów w tych dwóch powiązanych uczelniach jest rozwiązana i ze względu na warsztat pracy naukowej najbardziej ekonomicznie. Wspólne biblioteki, korzystanie z czasopism naukowych, korzystanie z narzędzi i aparatów. Dochodzi do tego ciągła i wzajemna kontrola wyników badań naukowych. Teoretycy mogą sprawdzać swoje wyniki w działalności praktyków Politechniki Wrocławskiej.

Ciekawe prace dokonują się również na Wydziale Nauk Lekarskich. Są tu tacy uczeni: prof. dr Hirschfeld z żoną, prof. dr Kowarzyk z żoną, prof. dr Szczeklik i prof. dr Baranowski. Hirschfeldowie pracują nad zagadnieniem „pośrednich postaci grup krwi i ich dziedziczenia". Kowarzykowie opracowują monografię o elektrokardiografii, problemem leczenia penicyliną zajmuje się dr Szczeklik.

Wydział Przyrodniczy reprezentują nazwiska: prof. dr Czyżewski, prof. dr Stanisław Kulczyński, prof. dr Bolesław Olszewicz i cały szereg innych. Niesposób by w ramach szczupłego artykułu dać jakieś pełne informacje o całym środowisku. Wyrywamy tylko fragmenty, z krzywdą dla interesujących badań Wydziału Humanistycznego, Prawno-administracyjnego, Rolniczego i innych, z krzywdą dla wydziału Politechniki, która swoimi wynikami pracy służy instytucjom państwowym: przemysłowi, rolnictwu, administracji.

*

Praca naukowa uczonych wrocławskich znajduje swój wyraz w formach instytucyjnych. Są nimi Wrocławskie Towarzystwo Naukowe i kilkanaście oddziałów towarzystw naukowych ogólnopolskich. Uczeni odbywają regularnie zebrania, na których są odczytywane rozprawy i komunikowane wyniki ostatnich badań. Indeks referatów i publikowanych rozpraw wskazuje nam jak szeroka jest skala zainteresowań członków Towarzystwa. Instytucja ma do dyspozycji drukarnię naukową. Zostało tu wydane około 30 prac wrocławskich uczonych. Podajemy kilka: Steinhaus Hugo: „O zagadnieniu taryfy elektrycznej", Kowarzykowie Hugo i Zofia. „Podstawy elektrokardiografii ogólnej" (w przyg.), Małczyński Karol: „W sprawie autentyczności bulli gnieźnieńskiej z r. 1136", Mikulski Tadeusz, „Nad tekstami Kniaźnina", Strzelecki Ladislau, „De Ateio Capitano nuptialium caerimonarium interprete", Klimaszewski Miecz., „Polskie Karpaty Zachodnie w okresie dyluwialnym", Rospond Stanisław, „Z badań nad przeszłością dialektu śląskiego" — „Der hoch — und plattpolnische Reisegefährte", Krzyżanowski Juliusz, „Shakespearian Modifications — Methodical Prolegomena", Morgentaler Jan „Recherches sur les étoiles variables", Olszewicz Bolesław, „Polska a odkrycie Ameryki" (w przyg.).

Towarzystwo rozporządza kilkoma pierwszorzędnymi czasopismami naukowymi. Matematycy wydają „Colloquium Mathematicum", „Studia Mathematica", przyrodnicy „Kosmos", filolodzy „Eos", historycy „Sobótkę", historycy literatury polskiej „Zeszyty wrocławskie". Druk publikacyj naukowych nie jest rzeczą łatwą. Sekretarz Generalny Towarzystwa prof. dr Olszewicz mówił mi, jaką Towarzystwo zdobyło drukarnię. Była to drukarnia poniemiecka do produkowania afiszy.

Czy praca Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego znajduje właściwe zrozumienie w oczach czynników rządowych? Sekretarz Generalny Towarzystwa chcąc zapewnić podstawy materialne instytucji udaje się do Warszawy do Premiera Cyrankiewicza. Normalnie petent w takich sytuacjach przygotowuje sobie małe exposé: „o konieczności, o potrzebie, że należy...". Gdy podobne przemówienie zaczął wygłaszać prof. Olszewicz, Premier Cyrankiewicz przerwał mu w pół zdania, mówiąc, że to wszystko jest bardzo jasne i zrozumiałe. Zapytał, ile?

Towarzystwo na urządzenie drukarni naukowej otrzymało sumę 12.000.000 zł i auto na dodatek.

*

Komu służy wynalazek prof. Hugo Steinhausa, komu służą badania Hirschfeldów i Kowarzyków, komu służą studia geograficzne prof. Czyżewskiego i komu prace filologiczne Jana Kowalskiego — to pytanie można rzucić na Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Wydaje nam się, że akcenty Kongresu będą się pokrywały z akcentami, jakie charakteryzują prace polskich uczonych środowiska wrocławskiego



Przemówienie Rektora U. W. prof. dr S. Kulczyńskiego

*) Oblicze Ziem Odzyskanych, Dolny Śląsk t. II str. 707. Książnica-Atlas, 1948.

Kazimierz Borzęcki

Tradycje młodzieży niemieckiej

NA ŁAMACH „ODRY" ukazał się ostatnio interesujący artykuł pióra p. Emila Kurońskiego pt. „Wizerunki megalomanów" (mowa o Fryderyku zwanym „Wielkim", Bismarku i Hitlerze).

Portrety zwłaszcza takich pomnikowych osobistości są oprawiane w grube, złocone ramy. Ramami takimi dla portretu Bismarka jest wieniec wiernych pretorianów, którymi byli w jego epoce junkrowie pruscy. Jedno z ich gniazd, bodaj największe, pragniemy poniżej chociaż z grubsza scharakteryzować.

Zupełnie przypadkowo wpadła nam w ręce całkiem nieciekawa napozór niemiecka książka. Nosi ona tytuł „Biographisches Corpsalbum der Borussia zu Bonn — 1821— 1929" — napisana w 1929 r. z polecenia władz owej korporacji studentów pruskich przez G. G. Winkela i wydana tylko dla dawnych członków korporacji, ich rodzin, przyjaciół i ku zbudowaniu innych bratnich organizacji. Przeglądając książkę, przypatrywaliśmy się z początku tylko fotografiom całych pokoleń niemieckich, obserwowaliśmy powolną zmianę kroju ich ubrań, metamorfozy krawatów, uczesania, dystynkcji na mundurach. Skonstatowaliśmy, że mimo zmian zewnętrznych, mimo z roku na rok wzrastającej dbałości o strój — miny członków powtarzają się w kilkunastu typowych odmianach. Przeważnie pewne siebie, często butne, rzadziej sentymentalne, nieraz typowo słowiańskie, co zresztą nie jest dziwne, bo to przecież nasi najbliżsi sąsiedzi ze Śląska, Prus Wschodnich, Pomorza, zatem żyjący w podobnych warunkach klimatycznych co i my. Typów wybitnie nordyckich stosunkowo niewiele. Zastanowiła nas nazwa tej organizacji studenckiej „Borussia", co znaczy Prusy. Zatem wszyscy ci młodzi ludzie to Prusacy na przestrzeni 107 lat. Gdyśmy przeglądali ich nazwiska, stwierdziliśmy, że to książęta, hrabiowie, freiherry, tj. baronowie i stara szlachta rodowa, a wreszcie trochę bogatych mieszczan. Znalazłszy jeszcze w tej liczbie cesarza Wilhelma II, jego kilku synów oraz syna i bratanka Bismarka, nabraliśmy ciekawości do książki i przestudiowali ją gruntownie. Książka zawiera krótkie życiorysy wszystkich członków korporacji akademickiej „Borussia" w nadreńskim mieście Bonn. Życiorysy tych ludzi są doskonałymi ilustracjami do dziejów ich ojczyzny, oczywiście gdy mowa tylko o przedstawicielach klas posiadających, które przez całe trzy ćwierci XIX wieku miały w Niemczech najwięcej do powiedzenia.

A zaczęło się napozór niewinnie. Po zakończeniu wojen napoleońskich i po Kongresie Wiedeńskim uniwersytety niemieckie, podówczas zupełnie autonomiczne, były widownią gorącej propagandy wolnościowej. Młodzież jednoczyła się początkowo w związkach gimnastycznych „Turnvereinach". W 1815 r. 11 studentów uniwersytetu jenajskiego założyło stowarzyszenie pn. „Allgemeine Deutsche Burschenschaft", głoszące hasła wolności i honoru. Związek ten opanował szybko inne uniwersytety protestanckie. Zewnętrzna działalność tych organizacji polegała m.in. na urządzaniu manifestacji, podczas których palono pisma reakcyjnych pisarzy, święcono 300 rocznicę wystąpienia Lutra itp. Manifestacje studenckie nie podobały się głośnemu publicyście niemieckiemu, hr. Kotzebuemu, który był jednocześnie zaufanym cara rosyjskiego. Ujawniono, że przesyłał on carowi tajne raporty o nastrojach w Niemczech. Student Sand zasztyletował go za to w 1815 r. Skorzystał z tego austriacki minister Metternich i na konferencji przedstawicieli państw niemieckich przeprowadził rozporządzenie o rozwiązaniu stowarzyszeń studenckich i skasowaniu autonomii uniwersytetów. Wówczas korporacje akademickie zeszły do podziemia. W tym czasie student wydziału prawnego uniwersytetu w Bonn, Ferdynand Pappritz, założył korporację „Borussia". W ciągu pierwszych 20 lat przez związek ten przesuwało się towarzystwo mieszane. Tytuł szlachecki, aczkolwiek pożądany, nie był koniecznym warunkiem przyjęcia w poczet członków, wśród których znaleźliśmy również 3 Żydów, synów bankierów i wielkich kupców. Korporacja wiodła przez kilka lat życie podziemne. Członkowie posługiwali się pseudonimami i listę Borussów z tych lat mamy zestawioną na podstawie pamiętników wybitniejszych członków. W latach późniejszych występowali już jawnie, a od 1832 r. zaczęli nosić białe kepi; w późniejszych latach przywdziewali na uroczystości korporacyjne mundury z węgierskimi szamerowaniami. Korporacja była terenem gdzie uczyli się pić, pojedynkować i panować, maltretując nowicjuszów, zwanych fuksami. Poza tym korporacja była towarzystwem wzajemnej adoracji. Chodzono wspólnie na bale, zapraszano kolegów do domów rodzicielskich, a często takie wizyty kończyły się zaręczynami z siostrą kolegi, o ile była to panna posażna. Rodzice bardzo przychylnie patrzyli na to, że synowie obracają się w arystokratycznym towarzystwie i są na „ty" z książętami, hrabiami i baronami. A przy tym ta wypróbowana linia ideologiczna: odwieczny nacjonalizm, kult feodalizmu, munduru, szpady, piwa i pieśni niemieckiej. „Borussia" w Bonn podtrzymywała przyjazne stosunki z dwiema innymi tamtejszymi korporacjami akademickimi oraz z gronem młodych oficerów stacjonującego w mieście pułku królewskich huzarów. W takim środowisku kształtowały się dusze przyszłych luminarzy prusactwa, przyszłych junkrów, tj. członków reakcyjnej partii szlacheckiej. Mówimy z całą świadomością o członkach „Borussii", jako o junkrach, gdyż jak obliczyliśmy — na listę 1037 studentów, którzy w ciągu 107 lat przesunęli się przez tę korporację, składają się następujące pozycje: 1 cesarz, 4 cesarskich synów, 58 książąt, 207 hrabiów, 174 baronów i freiherrów, 453 szlachty i zaledwie 140 synów bogatych mieszczan i obszarników, nie posiadających tytułu „von". Tytuł rodowy nie mówi jednak wszystkiego. Wystarczy przypatrzeć się czym się zajmowali ojcowie tych korporantów. Stwierdziliśmy, że jeden był cesarzem, 4 — regentami księstw, 477 — obszarnikami, 1 — magnatem węglowym, 31 — generałami, 24 — pułkownikami, 59—oficerami sztabowymi, 98—wyższymi urzędnikami, 14 — prezydentami regencji, 44—landratami, tj. starostami powiatowymi, 23 — dyplomatami, 21 — sędziami, 12 — ministrami lub wiceministrami, 31 — dygnitarzami dworskimi, 12 — lekarzami, 10 — pastorami, 34 — wielkimi kupcami, 2 — kapitalistami, 10 — przemysłowcami, 5 — bankierami, 4—leśnikami, 2 — profesorami uniwersytetów, 3 — dyrektorami i profesorami gimnazjów, 3 — artystami plastykami, 1 — artystą operowym, 1—dyrektorem teatru, 2—adwokatami, 4 pracowało w wolnych zawodach, 1 był właścicielem apteki, 1 — literatem, 2 — urzędnikami prywatnymi. Czym się zajmowało 219 pozostałych — nie udało się ustalić.

Paniczykowie owi po ukończeniu gimnazjum przyjeżdżali na wyższe studia do uniwersytetu w Bonn i zapisywali się przeważnie na prawo. Na 1037 członków korporacji studiowało prawo 803, gospodarstwo wiejskie 74, leśnictwo 11, medycynę 13, teologię 15, filozofię 10, nauki matematyczno-przyrodnicze 5, historię 4, ekonomię 3, filologię 4, oraz po jednym: muzykę, orientalistykę, chemię, zoologię i geografię. Z tej liczby w ciągu 107 lat zaledwie 85 przed zaczęciem studiów uniwersyteckich przeszło kurs szkoły podchorążych. Ze spisów wynika, że na 1037 tych studentów korporantów 233 uzyskało pełne dyplomy z ukończenia studiów. Większość prawników poprzestawała na tzw. egzaminie referendarskim, który odpowiada naszemu egzaminowi dla urzędników I kategorii. My w Polsce przed wojną ubolewaliśmy, że z powodu złych warunków materialnych blisko połowa studentów naszych wyższych uczelni porzucała studia po roku lub 2 latach. Tymczasem wśród Borussii nie było dosłownie ani jednego niezamożnego. Wnioski nasuwają się same przez się: chodziło wyraźnie o uzyskanie prawa wstępu do administracji. I jeszcze jedno interesujące spostrzeżenie: student polski jest zazwyczaj wierny swemu uniwersytetowi i tylko w niezmiernie rzadkich wypadkach przerzuca się w toku studiów na inną uczelnię i to raczej z powodu braku miejsc na wydziale, na którym pragnąłby studiować. Członkowie „Borussii" oraz bardzo wielu zamożnych studentów niemieckich z przenoszenia się z jednego uniwersytetu na drugi robiło sobie po prostu sport. Na 1037 owych korporantów połowa (513) studiowała tylko na jednym uniwersytecie, 325 na dwóch, 163 — na trzech, 28 — na czterech, a 8 — na pięciu. Prof. Hirszfeld w swej „Historii jednego życia" stwierdza: „że był to jeden z najlepszych zwyczajów życia uniwersyteckiego w Niemczech, że studenci mogli się przenosić z uniwersytetu na uniwersytet. Poznawali w ten sposób życie i różne szkoły". Jest to zupełnie oczywiste, jeśli mowa o młodzieży pracowitej i żądnej wiedzy. Członkowie Borussii, jak zresztą większość Niemców, uwielbiają życie w gromadzie. Przenosząc się na uniwersytet w innym mieście, zapisywali się niezwłocznie do takich, oczywiście arystokratycznych korporacji jak: „Saksoborussia", „Saksonia", „Neoborussia", „Wandalja", „Curonia", „Marchia", „Silesia", „Bremensia", „Brunsviga", „Hassia", „Holfartia", „Lunaburgia", „Turyngia", „Frankonia", „Guestphalia", „Suevia", „Masovia", „Scotia", „Misnia", „Hansea", „Vandalia", „Hubertia" i „Obotritia". Wymienione korporacje musiały posiadać zbliżoną ideologię, bo jakże by mógł inaczej czuć się w nich dobrze młody arystokrata niemiecki. Wszystkie hołdowały idei wielkich, zjednoczonych Niemiec, rządzonych przez cesarza, kamarylę dworską, junkrów i warstwę burżuazyjną. Przywódca junkrów, Otto Bismarck, powiedział o sobie tak: „Jestem junkrem i nie mogę być demokratą. Urodziłem się arystokratą i zostałem wychowany na arystokratę" W ślad za wodzem myśleli tak samo o sobie wszyscy junkrzy, którzy chcieli być nie tylko wytwornymi arystokratami, ale również nieustraszonymi ludźmi, gardzącymi niebezpieczeństwami i po stoicku znoszącymi ból. Męstwa uczyli się w korporacjach, gdzie pilnie przerabiano fechtunek i wymagano odbycia kilku obowiązkowych pojedynków, aby później żądać — satysfakcji honorowej za każdą choćby urojoną zniewagę. Ideałem takiej „honorowości" był przez długie lata czyn hr. C..., który w 1828 roku na balu maskowym wdał się w awanturę z innym korporantem. Obecni na balu koledzy korporanci odrazu zainicjowali pojedynek. W pierwszej rundzie hr. C. został ranny w pierś, w drugiej — w lewy policzek. Sekundanci chcieli przerwać pojedynek, lecz zawzięty hr. C. żądał dalszej walki. Ciężko poraniony dopiero w siódmej rundzie zwalił się z nóg. Rycerscy koledzy, z obawy przed odpowiedzialnością, nie wezwali lekarza, lecz zanieśli rannego do sąsiedniego domu, później odwieźli go do mieszkania, gdzie męczył się osiem dni. Gdy umarł — władze uniwersyteckie wszczęły dochodzenie i sąd skazał niefortunnych sekundantów na 3 miesiące twierdzy. Korporacja urządziła hr. C. ceremonialny pogrzeb. Autor bardziej rozwodzi się nad ceremoniałem pogrzebowym niż nad głupotą sekundantów.

Herosem korporacji „Borussia" był pewien książę z domu panującego, który w 1898 r. pojedynkował się z członkiem innej korporacji. W ciągu 8 minut zadał przeciwnikowi trzy poważne rany i 26 lżejszych cięć, a sam otrzymał tylko jedną ranę (w późniejszych latach został generałem, a w 1918 r. był jednym z pretendentów do tronu niemieckiego).

Pewien Freiherr z Królewca słynął był z tego, że jako korporant sekundował w 150 menzurach, tj. w wewnętrzno-korporacyjnych obowiązkowych pojedynkach.

Członkowie „Borussii" pojedynkowali się przy każdej okazji. Obliczyliśmy, że w ciągu 107 lat ośmiu z nich padło w pojedynkach. Ilu ludzi zginęło z ich rąk — nie piszą.

Takimi zasadami opatrzony na drogę życia młody junkier po ukończeniu uniwersytetu lub po porzuceniu go wkraczał na szerszą arenę. Zanotowaliśmy, że wielu synów obszarników najpierw wstępowało na parę lat do urzędów, i jeśli nie mieli tam widoków na zrobienie kariery, wracali na wieś do ojca, aby po jego śmierci lub wycofaniu się z interesów stać się panem na włościach rodzicielskich lub „fideikomisherrem", czyli zarządcą dóbr rodzinnych. Na 1037 członków „Borussii" — jeden został cesarzem, 361 obszarnikami, 144 przeważnie, wyższymi urzędnikami, 16 ministrami lub podsekretarzami stanu, 15 prezydentami regencji, 88 landratami, tj. starostami powiatowymi, 46 sędziami przeważnie wyższych instancji, 56 dyplomatami, 55 posłami do sejmów krajowych lub Reichstagu, 22 generałami, 15 pułkownikami, 44 oficerami zawodowymi, 11 adwokatami, 10 lekarzami, 6 notariuszami, 1 prokuratorem, 5 wyższymi urzędnikami policyjnymi, 4 leśnikami, 11 pastorami, 8 profesorami wyższych uczelni, 3 profesorami gimnazjalnymi, 9 poważnymi urzędnikami prywatnymi, 3 literatami, 1 dziennikarzem, 2 magnatami węglowymi, 2 przemysłowcami, 3 kapitalistami, 2 artystami malarzami, 1 kupcem, 1 bankowcem, a o reszcie tj. o 91 nie zdołaliśmy nic konkretnego ustalić. Z podanych liczb widać jakie zawody były najbardziej umiłowane przez Niemców. Kilku b. korporantów „Borussii" wyemigrowało do Ameryki — pewno palił się im grunt pod nogami albo dusili się w atmosferze swego środowiska. Niektórzy dygnitarze państwowi lub wielcy obszarnicy bywali zaszczycani godnością członków Izby Panów. Takich było 41. Niektórzy znów członkowie bardzo arystokratycznych rodzin otrzymywali godności „kammerherrów", które nie wiele więcej znaczyły niż nasze staropolskie tytuły podczaszych, stolników lub koniuszych. Jeden z takich kammerherrów zwierzał się przed laty prof. Hirszfeldowi („Historia jednego życia"), że zebrania owych dostojników dworskich były śmiertelnie nudne.

Interesujący jest również fakt, że w ojczyźnie poetów i filozofów, za jaką uchodziły Niemcy w XIX wieku z pośród 1037 członków „Borussii" w ciągu 107 lat zaledwie trzech zostało literatami średniej miary, a tylko piętnastu poświęciło się nauce po ukończeniu studiów, lecz żaden z nich nie zabłysnął jako gwiazda pierwszej wielkości. Jeden z nich, całkiem przeciętny filolog, dyrektor nauk w Akademii Rycerskiej w Brandenburgu, ukończył gimnazjum z tytułem „primus omnium der Generation—Bismarck angehörte" — a więc rokował za młodu wielkie nadzieje, jednak atmosfera korporacji i niezmierne ilości piwa, które trzeba tam było obowiązkowo wypić, zaprowadziły wyjątkowo uzdolnionego człowieka na poziomą ścieżkę. Ulubioną przez junkrów naukowców dziedziną wiedzy była historia sztuki, numizmatyka i teoria muzyki, a tylko trzej byli podróżnikami - naukowcami.

Powszechnie mniema się, że szlachta niemiecka, mająca kult dla munduru i szabli, powinna była dokazywać cudów bohaterstwa w bitwach. Tymczasem ze szczupłego grona korporantów „Borussii", którzy zawodowo poświęcili się służbie wojskowej, niewielu wyrosło bohaterów. Najwybitniejszy wojskowy z ich grona to Freiherr von Loe, który od skromnego porucznika doszedł do stopnia generała broni i naczelnego wodza wojsk Marchii. Brał udział we wszystkich wojnach, jakie od 1848 do 1871 prowadziły Niemcy, a prócz tego walczył jako ochotnik w wojnie kaukaskiej w 1862 r. i w wojnie algierskiej w 1864 r. Za te zasługi otrzymał doktorat honorowy wydz. prawnego uniwersytetu w Bonn i tytuł honorowego obywatela tego miasta. Jego udział w walkach o cudzą sprawę przypomina nieco akcję słynnej niemieckiej eskadry lotniczej „Condor" w Hiszpanii, której celem było eksperymentowanie nowych metod walki.

Najbardziej znów głośnym z grona wojskowych ex-Borussów był cesarz Wilhelm II; ale niepodobna w szczupłych ramach tego artykułu rozwodzić się o jego wyczynach w czasie pierwszej wojny światowej.

Z liczby 22 generałów, którzy wyszli z szeregów „Borussii", tylko 8 brało udział w wojnach niemieckich między 1848 a 1870/71 r. i tylko jeden był ranny w czasie wojny w 1866 r. O tym, czy młodsi generałowie brali udział w I wojnie światowej — kronikarz „Borussii" nie wspomina. Z liczby 15 pułkowników jeden brał udział w wojnie w 1848 r. i 1870/71, a 1 tylko w 1870/71. Obliczyliśmy następnie, że na 44 oficerów zawodowych (od majora w dół) jeden brał udział w wojnie 1848 r., jeden w 1866 r., pięciu w obu wojnach 1866 i 1870, siedmiu tylko w wojnie 1870 i tylko jeden z ich grona poległ. Służba wojskowa pozostałych przypada na lata międzywojenne lub na okres wojny 1914—1918 r. W 1870/71 r. tylko jeden b. korporant „Borussii" poległ na froncie, a w czasie I wojny światowej poległ tylko jeden oficer zawodowy z ich grona, a jeden był ranny. Jak widać z tego zestawienia — oficerowie zawodowi oszczędzali się w czasie wojny albo umieli unikać niebezpieczeństwa. Podobnie ostrożnie postępowali b. korporanci „Borussii", którzy zostali zmobilizowani do wojska niemieckiego z rezerwy. W 1846 r. zmobilizowano z ich grona jednego rezerwistę, w 1849 r. na kampanię badeńską — 4, na wojnę przeciw Danii — 5, na wojnę przeciw Austrii w 1866 r. — 46, z których jeden poległ, a tylko jeden został odznaczony Krzyżem Walecznych.

W wojnie z r. 1870/71, która bardzo odpowiadała ideologii „Borussii", bo dążyła do pognębienia Francji i do scalenia Niemiec w jedno państwo, będąc swego rodzaju świętą wojną niemiecką, b. korporanci „Borussii" wzięli udział gromadnie: 59 rezerwistów zostało powołanych pod broń. Poległo z nich tylko dwóch, a jeden został ranny. Czterech zostało okupacyjnymi prefektami zdobytych miast francuskich, jeden zaś komendantem etapów. Dziesięciu bardziej subtelnych zgłosiło się dobrowolnie do służby w charakterze rycerzy św. Jana (kawalerów Maltańskich) czyli do służby sanitarnej na tyłach. Żaden z nich oczywiście nie poległ, ani nie był ranny, lecz wspólnie z całym narodem niemieckim osiągnęli cel, do którego dążyli — zjednoczenie wszystkich księstw niemieckich pod hegemonią pruską.

Dziwnie wygląda pamiętnik „Borussii" jeśli mowa o pierwszej wojnie światowej. O ile wszyscy uczestnicy wojny w 1870/71 r. zostali odnotowani skrupulatnie, o tyle śladem I wojny światowej są notatki o poległych i rannych. Wiadomo, że 27 z nich poległo na froncie, 7 zmarło wskutek ran lub chorób nabytych na froncie (wśród nich jeden książę-generał) a jeden był tylko ranny. Bez wątpienia na I wojnę światową powołano do wojska wielu Borussów, ale dla jakichś względów nie wspominają o tym w swych pamiętnikach.

Nie w przewagach wojennych zatem szukali Borussowie sławy. Instrumentem do prowadzenia wojny był żołnierz ślepo posłuszny oficerowi, m.in. taki żołnierz, któremu w razie potrzeby grało się pod Sedanem „Jeszcze Polska nie zginęła". Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak zanotować, że jeden z zawodowych oficerów b. Borussów utonął, ratując żołnierza.

„Borussia" wydała ze swych szeregów bardzo wielu polityków, którzy w mniejszym lub większym stopniu byli narzędziem w ręku Bismarka i jego pomocników, chociaż takie samo ustosunkowanie się do rzeczywistości spotykamy u Borussów znacznie wcześniej. Jeden z nich, sędzia sądu kryminalnego, urodzony w 1804 r., jest chlubnie zanotowany w pamiętnikach korporacji, jako że nieustraszenie walczył z przywódcami rewolucji w 1848 r., inny znów, adwokat, był przez parę lat w Stanach Zjednoczonych A. P., oddając się badaniom naukowym. Owocem tych badań było studium o systemie więziennictwa w stanie Pennsylwanii. Dwaj znów w okresie wolnościowym w 1848 r. byli posłami do parlamentu frankfurckiego. Można przypuszczać po czyjej stronie stanęli. Inny — radca regencji w Poznaniu tak 1848 r. potrafił sobie zaskarbić sympatię Bismarka i tak



Borussowie:

Cesarz — Obszarnik — Generał — Starosta

mu później pomagać, że w końcu został prezydentem regencji Królewieckiej. Wśród Borussów spotykamy jednego kolegę szkolnego i przyjaciela kanclerza Bismarka. Inny wreszcie — hrabia, dyplomata pruski napisał w 1846 r. broszurę pt. „Myśli o reorganizacji związku państw niemieckich". Że treść tej książki była zgodna z zamysłami Bismarka świadczy fakt, że ów hrabia był później aż do 1868 r. posłem niemieckim w Paryżu. Ze stanowiska tego ustąpił wskutek ciężkiej choroby.

Podając zawód b. korporantów Borussii, wyliczyliśmy wielką liczbę obszarników. Zdawałoby się, że ci ludzie poza akcją, mającą na celu ochronę i powiększanie swego stanu posiadania nie wychodzili na szerszą arenę polityczną. Tymczasem jeden z obszarników hannowerskich był najpierw marszałkiem kongresu hannowerskiego, a później (lata 1857—1864) posłem księstwa hannowerskiego w Petersburgu. Nie było by to specjalnie interesujące, gdyby właśnie za czasów jego urzędowania w Petersburgu nie zawarto tam słynnej konwencji Alvenslebena (o czym niżej). Później tenże książę był w 1899 r. przedstawicielem Niemiec na konferencji pokojowej w Hadze, gdzie zaczęto opracowywać konwencję tylekroć deptaną przez Niemcy.

Syn pewnego kammerherra i obszarnika śląskiego, który ukończył najpierw akademię rycerską w Brandenburgu i Legnicy, a później prawo w Bonn, jako assesor sądowy został powołany do wojska i brał udział w tłumieniu rewolucji w 1848 r. w Poznańskim. Jako oficer rezerwy musiał być posłuszny rozkazowi, ale czemu z dumą podał do kroniki korporacyjnej fakt swego udziału w tej haniebnej wyprawie? Widocznie była ona zgodna z sumieniem niemieckiego sędziego.

Podobnie inny syn obszarnika — jako 24-letni student zaprotestował przeciw rewolucji w 1848 r. w ten sposób, że przypiął czarno-białą kokardę do białej czapki korporacyjnej.

W gronie członków „Borussii" znaleźliśmy bratanka kanclerza Bismarka. Początkowo pracował w sądownictwie, później zaś został zaufanym pomocnikiem stryja. Syn Bismarka, Herbert, był później wiceministrem, członkiem Izby Panów i generałem świty.

Z suchych poprzednich wyliczeń widzimy, ilu b. członków „Borussii" porobiło wspaniałe kariery jako dygnitarze administracyjni, sądowi lub jako wojskowi w okresie rządów Bismarka. Wynika z tego, że byli wiernie oddani swemu arystokratycznemu przywódcy. Wspomnieliśmy poprzednio, że kilku b. Borussów w czasie wojny w 1870/71 zostało prefektami wojennymi departamentów w okupowanej Francji: w Chaumont, Rouen, Aisine i Nancy. Wiadomo, że takie stanowiska są powierzane wyjątkowo zaufanym i twardym ludziom, a takimi byli ludzie z „Borussii".

Podobną rzecz wyczytaliśmy w kronice innego pokolenia korporantów „Borussii". Oto jeden z nich, po złamaniu ręki nie mógł się pojedynkować i z tego powodu był w korporacji tylko fuksem. Uzyskał doktorat filozofii i był w czasie pierwszej wojny światowej wyższym urzędnikiem w niemieckim zarządzie cywilnym w Belgii.

Inny wreszcie — baron, dr praw, stary dyplomata, stanął na czele delegacji niemieckiej na konferencję pokojową w Wersalu w 1919 r. Po podpisaniu traktatu wersalskiego napisał książkę pt. „Wersal" zaopatrzywszy tytuł w ogromny wykrzynik. Wykrzyknik ten później w ustach Hitlera nazywał się „dyktatem".

Większość b. korporantów „Borussii" piastowała w okresie bismarkowskim i później aż do wybuchu I wojny światowej wyższe stanowiska w administracji państwowej, sądownictwie, towarzystwach rolniczych, Hakacie, w świecie finansowym i w życiu społecznym. Przynajmniej połowa z nich urzędowała w Prusach Wschodnich, Pomorzu, Śląsku Dolnym i Górnym oraz w Poznańskim. Naturalnie, że żadna z akcji przeciwpolskich nie mogła im być obca, bo przecież korporacja żyła duchem Bismarka, który uczył: „Bijcie Polaków, by odeszła im ochota do życia. Osobiście współczuję im w ich położeniu, ale my chcemy istnieć, nie pozostaje nam tedy nic innego jak ich wytępić. Wilk też nie odpowiada za to, że Bóg stworzył go takim, jaki jest. Dlatego grozi i zabija gdy tylko może". Klasycznym przykładem takiego grożenia i zabijania są wyczyny, wprawdzie nie tylko samych b. członków „Borussii", lecz i ich najbliższych krewniaków.

Wśród listy członków „Borussii" występują często nazwiska von Arnimów i von Alvenslebenów. Nazwiska te są pamiętne w historii Polski XIX i XX w. i dlatego warto je przypomnieć, bo to Prusacy typowi dla swych pokoleń. Wprawdzie Arnim, o którym mowa poniżej, nie był w młodości członkiem „Borussii", lecz byli w niej jego czterej bliscy kuzyni. Otóż ten von Arnim, namiestnik pruski w Poznaniu, pod naciskiem Austrii, powołał w styczniu 1846 r. specjalną komisję, mającą na celu śledzenie i likwidację polskich działaczy rewolucyjnych. Na podstawie nakazu tej komisji dn. 12.II 1846 r. został aresztowany Ludwik Mierosławski, a później 254 innych Wielkopolan, podejrzanych o spisek. O dalszych losach tych więźniów, ich procesie berlińskim i uwolnieniu — jako o sprawie powszechnie znanej — nie piszemy. Podobnie postępowali Alvenslebenowie. Ich rodzina miała aż pięciu przedstawicieli w „Borussii" na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Ten, o którym mówimy, nie należał do „Borussii", ale nie był ani lepszy ani gorszy od swych krewniaków. Jak ta rodzina była ustosunkowana do Polaków niech świadczą fakty.

Bezpośrednio po wybuchu powstania 1863 r. Bismark postanowił wzmocnić kierunek antypolski w rządzie rosyjskim, utrudniać próby porozumienia się Polaków i Rosjan na płaszczyźnie antyniemieckiej i panslawistycznej i wreszcie wykazać zbieżność polityki rosyjskiej i pruskiej. W tym celu wysłał do Petersburga generała Gustawa von Alvenslebena z propozycjami pomocy Prus w dziele zgniecenia powstania polskiego. Misja ta miała być bodźcem dla chwiejnego cara i upoważniła go do „pobrzękiwania pruską szablą". W rezultacie dn. 8.II 1863 r. została podpisana w Petersburgu konwencja prusko-rosyjska, od nazwiska swego pruskiego negocjatora zwana „konwencją Alvenslebena". Układ ten upoważniał dowódców pogranicznych do udzielania sobie wzajemnej pomocy przy zwalczaniu oddziałów powstańczych, do przekraczania granicy, do wymiany wiadomości o działaniach polskich. W zamysłach Bismarka było to wstępem do zbrojnego wystąpienia Prus przeciw powstaniu i odnowienia tą drogą, dawnych ścisłych związków z Rosją.

I jeszcze jeden członek rodu Alvenslebenów, który najbardziej dał się we znaki narodowi polskiemu już w czasie ostatniej wojny. Mianowicie w czasie procesu Förstera świadkowie zeznawali o jego protegowanym von Alvenslebenie, pod którego kierownictwem „Selbstschutz" toruński wykonywał masowe egzekucje na ludności tego miasta. Według słów świadka — von Alvensleben ma na sumieniu śmierć wielu tysięcy Polaków, za co został odznaczony przez Förstera orderem gdańskim. Stara dewiza Bismarka o wilkach, które dlatego mordują, że do takiej roli zostały stworzone, powtórzona innymi słowy przez Hitlera, znalazła wykonawcę w potomku starego rodu, wiernego ideologii „Borussii". Nie wspominaliśmy jeszcze o późniejszych latach prześladowań Polaków pod berłem pruskim. Oto w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zaczęto metodycznie gnębić całą ludność polską w Poznańskim, zaczynając od duchowieństwa. W 1874 r. osadzono w więzieniu arcybiskupa Ledóchowskiego. W 1885 r. wydalono z granic państwa 30 000 robotników polskich nie posiadających obywatelstwa niemieckiego. W 1886 r. rozpoczęto wykup majątków ziemskich z rąk Polaków w Poznańskim i na Pomorzu. Działo się to w czasie, gdy nadprezydentem prowincji Poznańskiej był dawny człowiek „Borussii" — von Güthner. Niedola Polaków na Śląsku w latach osiemdziesiątych ub. wieku znana jest powszechnie. A nadprezydentem prowincji Śląskiej był w tym czasie von Dallwitz — b. członek „Borussii".

Jakże dziwnie brzmią dziś tytuły dawnych korporantów „Borussii" — hrabiego Tiele-Winklera „pana na Katowicach i Mysłowicach" oraz hr. Henkela von Donnersmarck — „pana na Siemianowicach"! Możnaby jeszcze wyliczać wiele tego rodzaju przykładów, lecz jest to zbędne wobec jednego charakterystycznego zdania Bismarka, wygłoszonego w parlamencie niemieckim w 1886 r.: — „Cherchez les Polonais (szukajcie Polaków) — gdziekolwiek dzieje się coś nieprzyjemnego dla Prus". Poseł Cegielski odpowiedział mu na to tak: „gdziekolwiek prześladuja Polaków zawołać należy — cherchez le chancelier" (szukajcie kanclerza Bismarka), a my dodamy — i jego pojętnych uczniów.

Stojący na szczycie pruskiej piramidy cesarz Wilhelm II, również b. członek „Borussii", aczkolwiek od razu na początku swego panowania zmienił sobie kanclerza, nie zmienił jednak dawnych metod rządzenia, czego dowodem były jego słynne mowy antypolskie w 1894 r. w Toruniu i w 1902 r. w Malborgu. Członkowie „Borussii" uwielbiali cesarza Wilhelma, o czym świadczy napis na brązowej tablicy, wmurowanej w ścianę domu korporacji w Bonn. Na tej tablicy wypisano nazwiska wszystkich poległych b. korporantów „Borussii" zaznaczając, że złożyli oni swe życie za cesarza i Rzeszę.

Nie należy się łudzić, że idea „Borussii" skończyła się wraz z II Rzeszą niemiecką. Przecież b. korporant „Borussii" — hrabia Puttkamer był jednym z adjutantów Hitlera, a rodzony syn cesarza Wilhelma II — książę August Wilhelm Hohenzollern, również b. członek „Borussii" został niedawno skazany przez Trybunał Denazyfikacyjny na 2 i pół roku obozu pracy za to, że był SA Obergruppenfuehrerem, pruskim radcą stanu i członkiem hitlerowskiego Reichstagu.

Długi poczet b. członków „Borussii" to przecież nie całe prusactwo, lecz mały, ale charakterystyczny jego wycinek. Nie podobna na podstawie pamiętników „Borussii" utrzymywać, że takimi właśnie byli wszyscy Prusacy. Przeciwnie — można twierdzić, że taką była elita prusactwa. I dalej — jak wyglądało ich życie na tle życia Niemiec — czy byli czynnikiem twórczym, czy pasożytującym. Na to pytanie łatwo może odpowiedzieć każdy, kto widział Niemcy przedhitlerowskie, gdzie wszystko było uporządkowane, usystematyzowane, obwarowane nakazami i zakazami, i gdzie robiło się wszystko dla podniesienia siły państwa, które mogłoby bronić stanu posiadania, przywilejów i stanowisk górnych warstw. Wówczas stanie się dla nas jasne, że potomkowie arystokratycznych junkrów staną i nadal zawsze ławą przy każdym ustroju politycznym, który będzie rozporządzał taką siłą i dopuszczą się każdej niegodziwości aby taką siłę uwielokrotnić.

Kazimierz Borzęcki

STUDENCI I NAUKA*)

Grupa wrocławska

Żywe zainteresowanie studentów Wydziału Prawno-Administracyjnego Uniwersytetu Wrocławskiego wykładem „współczesnych doktryn społecznych na tle rozwojowym", skłoniło wykładającego do wprowadzenia nieobowiązkowych ćwiczeń pt. „Wskazówki praktyczne do badań naukowych w zakresie doktryn współczesnych".

Celem pedagogicznym ćwiczeń było: 1) pogłębianie nabytych na wykładzie wiadomości poprzez samodzielną pracę, 2) zapoznanie się w teorii i praktyce z metodami badań historyczno-społecznych i ekonomicznych, 3) zapoznanie się ze źródłami nauk społecznych,



Wrocław — Uniwersytet

wraz z interpretacją tekstów źródłowych, 4) zaznajomienie się z najważniejszymi pracami autorów polskich i obcych z zakresu doktryn społecznych, jak też i nauk pokrewnych.

Zaraz po ogłoszeniu powyższego ćwiczenia na rok akad. 1947/48, zgłosiło się ponad 100 kandydatów, z których stale uczestniczyło w zajęciach 82, w dwu grupach. Owocem pracy studenta było opracowanie przynajmniej jednego sprawozdania krytycznego z rozpraw i publikacyj, lub próba samodzielnego referatu na temat oznaczony, w oparciu o źródła i literaturę z nauk społecznych i pokrewnych, którą musiał sam zdobyć metodą bibliograficzną. Przedłożona praca była zawsze omawiana szeroko przy współudziale kolegów i wykładowcy na ćwiczeniach.

Do udatnie opracowanych tematów należą:

1) Domasławskiego Tadeusza, Znaczenie świadomości społecznej dla rozwoju bytu społecznego.

2) Grzymskiego Adama, Zmiany sposobu produkcji i rozwój formacji społecznej.

3) Trojanowskiego Antoniego, Krótki zarys materializmu dialektycznego, filozoficznego i historycznego.

4) Misia Władysława, Charakterystyka współczesnej warstwy robotniczej.

5) Gdeczyka Kaz., Cel ekonomiczny socjalizmu jako świadoma konieczność.

6) Łukosza T., Dwa okresy rozwoju kapitalizmu.

7) Kanzy E., O charakterze praw ekonomicznych socjalizmu.

8) Zabłotnej H., Problem wartości we współczesnych doktrynach ekonomicznych.

9) Bartoszewicza P., Towar i jego wartość.

10) Głowackiego J., Gospodarka Polski po drugiej wojnie światowej.

Tak wykorzystane ćwiczenia są podbudową w przygotowaniu każdego do twórczej i samodzielnej pracy naukowo-badawczej.

Franciszek Jukniewicz

Grupa łódzka

Trudno jest pisać o grupach intelektualnych młodych inteligentów. Są to zazwyczaj ośrodki najbardziej ciekawe i najbardziej pasjonujące dla ubocznego obserwatora. Tym razem spróbuję nakreślić obraz takiej właśnie grupy. Od niedawna zaczęły pojawiać się w pismach literackich artykuły młodych, łódzkich polonistów. Potem był drugi ogólnopolski zjazd adeptów tej gałęzi humanistyki, z licznymi sprawozdaniami, z utyskiwaniem na „czerwoną Łódź" i z polemiką dokoła zjazdowego referatu, która odbyła się na łamach „Twórczości". Stąd właśnie powstała fama o Łodzi, o marksistach na polonistyce, o żywym

*) Zamieszczamy trzy krótkie artykuliki informujące o pracach wydziałów humanistycznych dwóch uniwersytetów polskich: wrocławskiego i łódzkiego. Stanowią one wstęp do szerszego rozpatrzenia działalności naszej humanistyki uniwersyteckiej.



Łódź — Uniwersytet

życiu intelektualnym wśród nich właśnie. Dotyczyło to właściwie garstki ludzi, debiutujących krytyków i literaturoznawców. Zacznijmy od ich rodowodu społecznego. Oczywiście drobnomieszczański lub inteligencki (wolne zawody). Te środwiska bowiem zasilały najwydatniej uniwersytet. Tradycja kulturalna? Inteligencki pseudoliberalizm sanacyjnej szkoły. Lata 1945 — 46 przynoszą poważny przełom ideologiczny. Następuje coraz dalej idące przekonywanie się do marksizmu, aprobowanie jego haseł. Młodzi ludzie, przychodzący na uniwersytet, przynoszą wraz ze sobą fetyszyzm nauki, tradycję domową zazwyczaj. Szacunek jednak dla idealistycznych „prawd" wśród najmłodszego pokolenia humanistów szybko zniknął. Podziałał na to przede wszystkim rozwój myśli marksistowskiej i to właśnie na gruncie historii i teorii literatury. Nic więc w tym dziwnego, że patronami grupy, o której tutaj mówię, intelektualnymi wychowawcami, okazali się Stefan Żółkiewski i Jan Kott. Znaczenie ich było niewątpliwie dużo większe, niż powaga profesorskich przekonań podawanych do wierzenia z katedr. Oni to wsunęli do rąk „Osiemnastego Brummaire'a", oni to atakowali ejdetyczne metody badań, formalizm oparty o fenomenologię, odchylenie diltheyowskie, jednym słowem te wszystkie kierunki, które na terenie historii kultury nawiązywały do kryzysu antypozytywistycznego. To były początki. Potem zupełnie wyraźnie zaczęła się konsolidować grupa z kilku osób tak na gruncie politycznym, jak i intelektualnym. Pierwszym jej krokiem była walka z formalizmem. Siłą rzeczy należy wypełnić metrykę ideologiczną, wskazać na pozycję, którą ci młodzi ludzie, trochę znani być może już z pism, zajęli. Przyjęli metodę socjologiczną. To też jeśli można wnioskować coś z prac, jakie zdążyli zamieścić, „Przedmowa do „Lalki" Jana Kotta była dla nich drogowskazem w badaniach. Mieli ambicje naukowe. Wysiłek ich nie biegł wyłącznie po linii prac seminaryjnych, zajmowali się badaniami na własną rękę, trochę pod wpływem inspiracji starszych krytyków i znanych publicystów. Cel, który postawili przed sobą — to zademonstrowanie w studiach nad poszczególnymi utworami możliwości i konieczności ujmowania dzieł literackich w zależności od innych zjawisk socjalnych oraz teoretyczne uzasadnienie podobnych poczynań. Rozwój ten biegł po linii zapoczątkowanej przez „Mitologię i realizm". Takie usiłowania, rzecz godna podkreślenia, podjęto wówczas, gdy profesorowie uniwersytetu w najlepszym razie, w najcenniejszych wyjątkach byli formalistami. Ogromna większość spośród luminarzy polonistyki kontynuowała za to bądź Kallenbacha, bądź Chrzanowskiego, sięgając nieraz do kreślenia jeszcze bardziej tradycyjnych sylwetek poszczególnych pisarzy. Próby przejścia na socjologizm, bez względu na ich wartość nawet w ramach przyjmowanego systemu, były więc objawem pocieszającym. Rozpoczęto badania nad pozytywizmem, zachwycano się realistami, gdyż kult, jaki Lukacs żywił dla Balzaca i Stendhala zaważył w bardzo poważny sposób na kryteriach oceny.

Wartoby tu niewątpliwie dla zaznaczenia osiągnięć łódzkiej grupy polonistów i jej wielkiego znaczenia w obecnym położeniu młodej humanistyki, zestawić ją z ogólnym poziomem studenckiego środowiska. Prace, które słyszy się na seminariach — to ślady Chrzanowskiego, podstawowymi monografiami w zakresie romantyzmu, a zarazem wzorem pracy naukowej w tej dziedzinie stały się dzieła Kallenbacha i Kleinera. Rzadko kto czytał Ingardena, rzadko kto, wie co to znaczy formalizm, a na Zjeździe Kół Polonistycznych szczytem erudycji było zacytowanie przez jednego z przedstawicieli pomorskich ośrodków Oswalda Spenglera. W takiej to sytuacji ruch umysłowy, opierający się o konsekwentne stanowisko marksizmu i odwołujący się do prób zreformowania, przebudowania metodyki historii oraz teorii literatury jest czymś bardzo pozytywnym i bardzo obiecującym w swym dalszym rozwoju.

Lech Budrecki

Łódź a socjologia

Łódzkie studium socjologiczne pod kierownictwem prof. Chałasińskiego nie jest grupą jednolitą. Dziwnym byłby stan przeciwny — wśród ludzi młodych, pochodzących z różnych środowisk społecznych i kształtowanych różnymi wpływami intelektualnymi. Czy jest to wada, niedociągnięcie albo jakaś niedomoga studiów? Trzeba raczej sądzić, że wymiana różnorodnych poglądów, krzyżowanie się tez naukowych i społeczno - politycznych wzbogaca niezmiernie dyskusje, które są osnową seminariów — i pobudza zainteresowania naukowe.

Tu trzeba podkreślić wielką żywotność intelektualną łódzkiego ośrodka socjologicznego, która jest jego cechą znamienną i tworzy dookoła niego jakiś „mit" socjologiczny— zarówno wśród studentów, jak i absolwentów gimnazjalnych.

Jest też faktem niewątpliwym, że studia socjologiczne zostały przez kierownictwo tego wydziału, a w pierwszym rzędzie przez prof. Chałasińskiego postawione na wysokim poziomie.

Poziom studiów, wespół z żywotnością i różnorodnością intelektualną, studentów dają ciekawe i pozytywne wyniki. Nie idzie o to, że tworzy się tu jakaś nowa szkoła socjologiczna, nowa metoda badań socjologicznych. Możnaby raczej stwierdzić wyodrębnianie się — z biegiem studiów — zarówno metod naukowych, jak i problematyki. Niewątpliwie jednak większość studiujących ulega przemożnemu wpływowi prof. Chałasińskiego i pod jego kierunkiem pracuje naukowo.

Trzeba tu podkreślić w pierwszym rzędzie — szeroko pomyślane studia nad Łodzią. W pracę wciągnięto liczną grupę studentów starszych lat. Za podstawę metodologiczną badań służą w pierwszym rzędzie — studia socjologów amerykańskich nad miastem Chicago — z pewnymi korektami, zrozumiałe.

Łódź jest jednym z nielicznych miast w Europie, które rozwijało się na modłę amerykańską i dzięki temu dostarcza wysoce efektownego materiału socjologicznego. Czyż można się więc dziwić, że skupiła uwagę naukowców i zainteresowania studentów?

Wielka praca badawcza nad Łodzią wystarczałaby do zaliczenia łódzkiego ośrodka socjologicznego do rzędu zarówno nowatorskich — w polskich warunkach, jak i wysoce atrakcyjnych naukowo instytucji. Skoro zaś dodamy do tego żywotność intelektualną — obraz zarysuje się nam w świetle jeszcze znacznie ciekawszym.

Jan Wróblewski

Unus defensor Mariae

Bywa i tak...

Warszawa, 8. X. 46.

Henryku!

Cieszę się, żeś się dobrze w tym Elblągu urządził, że masz ładne mieszkanie i że Twoja Mama nareszcie po tylu latach tułaczki może wypocząć w spokoju.

Czy masz zamiar studiować? Bo ja złoszczę się na siebie, że zmarnowałam ten rok, ale naprawdę bez niczyjej pomocy trudno się było w Warszawie urządzić. Początkowo pracowałam za 1800 zł miesięcznie i zupki w magistracie. Mieszkałam na Bródnie u koleżanki, która zajmowała jeden kąt w kuchni rodziny milicjanta.

To śmieszne, ale wtedy wydawało mi się, że jestem kaczką, która każdy nurt przepłynie, a dziś, kiedy mam już własny pokój, zarabiam 7 tys. miesięcznie i zaczęłam pierwszy rok studiów, zdaje mi się chwilami, że mnie i moje plany kaczki zdepczą.

Przez 5 lat okupacji nie wzięłam książki do ręki, a teraz znowu nie mam czasu się uczyć. Rano biuro, po południu wykłady. Dolicz do tego dwie godziny dziennie na tramwaje — urwać się można.

„Na siłę" idę naprzód. Jeżeli mimo to życie mi się nie uda, nie będę miała sobie nic do wyrzucenia. Robię, co mogę i nie tracę humoru.

Głowa do góry!

Marta.

Elbląg, 20. XI. 46 r.

Marto!

Tymczasem nie mogę się ruszyć z Elbląga ze względu na mieszkanie i Mamę. Jeżeli uda mi się parę interesów, które tu rozpocząłem, na przyszły rok rozpocznę studia w Gdańsku. Nie wiem jeszcze jaki wydział wybiorę. Jeżeli będę musiał pracować, wybiorę wydział, na którym wykłady odbywają się po południu. Może śladami ojca pójdę na WSH. Jeżeli zdołam przekonać wuja, żeby mi pomagał, pójdę na politechnikę. To się lepiej opłaci.

Aha — wyobraź sobie, że Stach pojechał do Płocka i wstąpił do seminarium duchownego!

Pozdrowienia

Henryk

Warszawa, 15. I. 47.

Henryku!

Wygodny jesteś z rozkładaniem sobie wysiłków na raty.

Co znaczy urodzić się w domu kupca — przynajmniej masz wyczucie, co ci się opłaci... Ja po roku pracy mam własny ciemny kąt — i zamęt w głowie. Nie wiem, czy uda mi się, jak marzyłam od dawna — zostać publicystką — skoro dziś jeszcze po katastrofie sierpnia 44 r. nie jestem pewna swego sądu o życiu, a po tylu latach umysłowego ugoru — formy pisanych przezę mnie zdań... Muszę się uczyć i uczyć. Jeżeli mi się nie powiedzie to przynajmniej będę wiedziała, kto ma rację w niedzielnych artykułach wstępnych.

Czy wiesz na pewno, że Stach wstąpił do seminarium? Czy pisał może do Ciebie?

Marta.

Elbląg, 20. II. 47.

Marto!

Stach się z nikim nie pożegnał, o tym, że jest w seminarium, dowiedzieliśmy się od osób trzecich. Co prawda dawno już się na to zanosiło. Nie mógł sobie jakoś miejsca znaleźć. Kiedyś jako kilkunastoletni chłopiec chciał zostać księdzem, bo go matka w tym duchu wychowywała, ale ojciec mu wyperswadował. Jego ojciec, choć „kułak", ale głowę miał otwartą, dużo czytał — i był, co tu dużo gadać — czerwony. Teraz po tej historii z ojcem, spowiednik przekonał Stacha, że to, co zaszło, to kara Boża za zbytnie przywiązanie ojca do życia i odciągnięcie Stacha od stanu duchownego. A że Stach ojca bardzo kocha i uważa, że ojca skrzywdzono, a jego samego — skompromitowano, stał się zawziętym wrogiem tego, co się teraz dzieje i sądzi, że tylko w sutannie znajdzie schronienie i oręż do walki.

U mnie nic nowego. W starostwie nudy, nawet porządnego brydża nie można zorganizować.

Wszystkiego dobrego

Henryk

Warszawa, 3. III. 47.

Henryku!

Stach mi jeszcze w liceum mówił o tym swoim zamiarze, ale gdy rok minął, myślałam, że zapomniał.

Dlaczego Ty, najbliższy przyjaciel, nie wytłumaczyłeś mu, że wywiezienie z kraju jego ojca jako zdrajcy, to nie dopust Boży, a po prostu pomyłka władz, o którą w styczniu 45 r. w przyfrontowym bałaganie nawet zbytniej pretensji nie można było mieć?

I pocóż ta mistyczna ekspiacja, skoro ze strony jego ojca nie było winy — został po prostu steroryzowany kiedy pod grozą rewolweru, zakładał jako sołtys te nieszczęsne pętle podczas publicznej okupacji. Za to, że nie okazał się bohaterem i nie oparł się — skoro egzekucji i tak nie był w stanie zapobiec — karać go nie można.

Strasznie mi żal Stacha. Tylko jego ambicja jest powodem tego szaleństwa. Jak spowiednik to zrobił, że Stach uważa ojca jednocześnie za — skrzywdzonego i — winnego? Winny moralnie — a skrzywdzony politycznie? Tu jest błąd w rozumowaniu i jeżeli on dlatego poszedł do seminarium, to jak się połapie — wystąpi. Chyba, że weszłyby w grę jakieś nowe elementy.

Marta

Elbląg, 17. V. 47.

Marto!

Pisał do mnie nasz kapucyn, mam już drugi list od niego. Uważa, że słuszną drogę obrałaś. Jeżeli chodzi o niego — to klamka zapadła — włożył sutannę. Nawet nie miał początkowo zamiaru czynić tego przed upływem roku, ale były jakieś uroczystości w związku z przyjazdem nowego biskupa i ze względów dekoracyjnych zaproponowano kilku z nich, żeby włożyli sukienki. Stach był już, tak przebrany, w domu. Pisze, że było mu niewyraźnie, jak się wszyscy na niego gapili.

Ściskam dłoń

Henryk

Olsztyn, 20. IX. 47.

Marto!

Przeniosłem się do Olsztyna. Pracuję teraz w banku. Dawno nie miałem listu od Ciebie, to też odpisz zaraz. U mnie poza tym, że od października zaczynam studiować — nic nowego.

Wrócił ojciec Stacha. Ciekawym jak Stach zareagował.

Bądź zdrowa

Henryk

Warszawa, 6. X. 47.

Stachu!

Bardzo się cieszę, że wrócił Twój Ojciec. Zawsze Ci szczerze tego życzyłam i uważałam, że spotkała Was wielka krzywda.

Napisz do mnie jeżeli możesz. Z naszej klasy prawie wszyscy obracają się nadal w tym samym kręgu ludzi, zdarzeń i pojęć. My dwoje tylko poszliśmy innymi drogami i — jakże różnymi.

Ciekawa jestem, jak daleko po roku pobytu w Płocku odszedłeś od naszego liceum, od naszych przedmaturalnych dyskusji?

Marta.

Płock, 18. X. 47.

Marto, Marto!

Dziękuję Ci za pamięć, za podzieloną z nami radość z okazji powrotu mego ojca.

Pytasz, jak daleko odszedłem od naszego gimnazjum? — Te szczęśliwe czasy wydają mi się tak odległe i tak nie-po-wro-tne...

Pamiętam Marto, jak mi mówiłaś: Nie chodź, będziesz żałował! Byłaś dobrym wróżem złego. Głupia ambicja, jeżeli to w ogóle można nazwać ambicją, potrafi wykoleić życie. Jest mi źle, ale niech nikt nie wie o tym oprócz Ciebie. — Boś przewidziała, a ja niebaczny — nie usłuchałem. Może jeszcze się przełamię, może zdołam dostosować się do tego życia. Najwięcej zraziło mnie otoczenie, środowisko, w którym jestem. Znalazłem w nim głównie dziwaków. Wiesz, żebym ja coś ukochał, muszę najpierw to dobrze poznać. A jeżeli sam nie umiem sobie drogi znaleźć— oni winni mi ją wskazać. A tymczasem — to jest może płytkie — oni mnie sobą odstraszają.

Ja chcę być normalnym człowiekiem, szczerym i trzeźwym. I przede wszystkim muszę rozumieć, dlaczego postąpić mam tak, a nie inaczej. A tu tylko każą mi słuchać, milczeć i modlić się.

Odpisz mi dopiero przed Bożym Narodzeniem, bo boję się, żeby nie załapali listu. Bądź ostrożna w swoich wypowiedziach — i tak nie wiem, jak to się stało, że ten list od Ciebie dostałem.

Serdecznie Cię pozdrawiam

Stach

Płock, 1. XI. 47.

Marto!

Wybacz, ale mam do Ciebie wielką prośbę — nie odpisuj mi. W seminarium obostrzono cenzurę. Korzystam z tego, że wysyłają mnie dziś do Katedry, żeby wrzucić te parę słów.

Wybacz — i bądź zdrowa — nie gniewaj się

Stach.

Olsztyn, 15. III. 48.

Marto!

Wziąłem sobie do serca, coś mi opowiedziała o liście naszego kapucyna. Ja też dostałem od niego list podobnej treści. Wypaliłem mu więc sążnistą epistołę. Skoro mu zawód księdza nie odpowiada, niech rzuca sutannę i niech przyjeżdża — miejsca i chleba jest dość.

Księża złapali list, zrobili mu awanturę, — biedny Stach nie wiedząc ani od kogo ten list, ani co zawiera, kręcił się jak piskorz.

Prosił, aby bez względu na następstwa powtórzyć treść, więc napisałem jeszcze raz, z cichą nadzieją, że go za to wyleją.

Mam już nawet dla niego upatrzoną pracę. Nareszcie ten dramat się skończy. Czemu on nie występuje, nad czym on się jeszcze zastanawia? Przyjedzie tu, zapisze się na ten sam wydział i tak, jak ja, nawet się nie obejrzy, jak pierwszy rok będzie miał poza sobą. A reszta już pójdzie gładko.

Henryk

Warszawa, 18. VI. 48

Henryku!

Mnie się też zdawało, że to wszystko jest bardzo proste. Przyjechawszy do Płocka, powiedziałam sobie, że jeżeli Stach robi wrażenie głęboko wierzącego, nie będę starała się z nim zobaczyć. Poszłam więc najpierw do katedry, spodziewając się go zobaczyć podczas odbywającego się tam solennego nabożeństwa.

Po południu w parlatorium bez ogródek i wstępów powiedziałam mu wszystko, co mówiliśmy w jego sprawie. Przygotowana byłam na jakieś protesty, czy dyskusje, ale Stach z miejsca wyznał, że zamierza wystąpić. Nie czyni tego w tej chwili, bo chce złożyć egzaminy które przez wiele miesięcy obkuwał.

Wypytywał o warunki życia. Wiesz, miałam wrażenie, że rozmawiam z kimś wracającym z zagranicy. Okazało się, że oni w seminarium żyją rzeczywiście jak zagranicą, czy na księżycu. Bez gazet, bez radia, trochę katolickich tygodników ma im wystarczyć.

To też Stach boi się życia. Czas spędzony w zamknięciu sprawił, że chowany w cieplarnianej atmosferze studiów od litery do litery z mniejszego i większego formatu brewiarzy, zdaje sobie sprawę, że samodzielne przedsiębranie sądów o naszej nowej rzeczywistości, bez skorupy jaką stanowi sutanna, może go doprowadzić znowu do ostrych konfliktów z życiem.

Obiecałam, że postaram się wszystko mu tłumaczyć i wprowadzić go w krąg kolegów, którzy mu wiele spraw pomogą zrozumieć i właściwie ocenić. Przyjął to z radością.

Ponieważ wstydzi się w swojej wsi pokazać bez sutanny, miał zamiar na początku jechać do Ciebie, a potem do Wrocławia. Twierdzi, że gdyby nie to, że jakoś nie wypadało nie założyć sutanny, gdy przyjechał biskup, nigdy by potem już tego nie uczynił.

Tak żeśmy się zagadali, że przyszedł Franek. Nie wiem czy go pamiętasz, był od nas o klasę niżej, jasny blondynek, pokorny, cichy syn plebanii, donosił na kolegów prefektowi. Miał ze sobą numer „Sursum Corda", wiesz, takie wewnętrzne pismo alumnów, numer z kwietnia tego roku. Z pobieżnej lektury tego pisma dowiedziałam się dwu rzeczy. Przed Wielkanocą (a więc w okresie zatrzymania przez cenzurę seminaryjną Twoich dwu listów), po solennych rekolekcjach dołożono Stachowi jeszcze dwa święcenia (a Ty myślałeś, że gdy się księża dowiedzą, że on się w seminarium dusi, to go sami wyrzucą).

I drugie: „Kronikarz" pisze — Ksiądz Dyrektor życzył alumnom składającym mu świąteczne powinszowania — pomyślnych egzaminów i polecił wobec naprężonej sytuacji politycznej zdać się na Opatrzność Boską.

Informacja o naprężonej sytuacji politycznej, w której trzeba się zdawać na Opatrzność Boską i to sprzed Wielkanocy 1948 jest niezwykle cenna, szczególnie że ksiądz dyrektor ma w seminarium ogromny autorytet, a alumni, jako się rzekło, nie czytują gazet.

Franek domyślił się może, że mam zamiar odwodzić Stacha z pobożnej drogi, bo w pewnym momencie powiedział: „dziś każdy alumn to rycerz Marii" i dziś w Polsce „dezercja z szeregów duchowieństwa jest sprawą braku honoru".

A więc masz: „unus defensor Mariae" w naprężonej sytuacji politycznej. Kiedyś samo hasło „Bóg, Ojczyzna w potrzebie" oblekało tysiące ludzi w mundury — okazuje się, że patriotyzm służy dziś do szczelnego zapięcia kołnierza sutanny, gdy zawodzi „powołanie" alumna do stanu duchownego.

Wieczorem po powrocie do hotelu napisałam mój pierwszy artykuł publicystyczny o papieżu, naszych granicach zachodnich, niekompetentnych autorytetach i chowaniu przyszłych polskich proboszczów i prefektów bez wiedzy o rozgrywających się w świecie wypadkach, nawet bez znajomości naszej nowej geografii. A tymczasem Franek pewno zaalarmował księży, że na ich owieczkę czyha niebezpieczeństwo, bo następnego dnia w południe czekałam na Stacha przy wejściu, tak jakżeśmy się umówili. I Stach nie przyszedł. I do dziś nie przysłał listu. „Unus defensor Mariae" zgodnie z nakazem honoru pozostał w twierdzy. Będzie słuchał, milczał i modlił się, w oczekiwaniu na nową wojnę, chociaż chciał: — „być człowiekiem szczerym i trzeźwym a nade wszystko rozumieć, dlaczego ma postąpić tak, a nie inaczej". Rozumieć, dlaczego zmarnował swoje życie nigdy nie będzie. Najwyżej powie, „że to była wola Boska". I czy „woli Boskiej" możesz Ty, albo ja, Henryku się przeciwstawić, skoro ani napisać do niego, ani zobaczyć się z nim nie możemy?

Marta.

Zebrała i przygotowała do druku

Irena Wodzińska



Andrzej Panufnik



Teatr Schillera „Burza"



Zofia Nałkowska

Leon Schiller

Odpowiadamy teraz na pytanie, jakiemu „izmowi" hołduje polska sztuka teatralna w ustroju demokratyczno - ludowym.

Odpowiedź będzie prosta: takiemu, który wkalkulował w swój program te fakty historyczne, co odgrodziły nas na zawsze od tragicznej przeszłości społecznej, a zarazem wypełniły testament najszlachetniejszych synów Ojczyzny, bojowników o wolność i sprawiedliwość Polski Ludowej.

Służyć będziemy temu „izmowi", co stanie na straży osiągnięć Wielkiej Reformy, który na jej podwalinach zbuduje gmach w Polsce nowej, silnej, gospodarnej, mądrze się organizującej, oświeconej, szanującej godność człowieka, miłującej pokój, lecz gotowej do walki z wrogami ludu polskiego i międzynarodowego Świata Pracy.

Wyznawać będziemy tylko taki „izm", który nie zamyka oczu na podziemną robotę obłąkańców lub zbrodniarzy, podsycaną przez agentury obce i groteskowy, samozwańczy rząd emigracyjny, złożony z renegatów, awanturników i kondotierów.

Uznajemy tylko taki „izm", który umie powiązać te na pozór samorodne i lokalne ekscesy z akcją podpalaczy, rozniecających ogniska faszyzmu w Niemczech, we Włoszech i w Japonii, w Hiszpanii, Portugalii i Grecji oraz w Chinach, — „izm" świadomy nowej tragedii Żydów, wyzwolonych Indii i ludów indonezyjskich.

A więc „izm" o zdecydowanym obliczu politycznym.

Nas Polaków nie powinien przerażać taki kierunek w sztuce teatralnej. Dramat nasz i teatr, w najpiękniejszych swych okresach, polityczne sobie stawiał cele i polityczną grał rolę. Zaczęło się „Odprawą posłów greckich", w epoce stanisławowskiej zasługują się narodowi tak pojętymi obowiązkami teatropisarstwa Bohomolec, Niemcewicz, Wybicki — a przede wszystkim wielki nasz Bogusławski, który niepoślední talent literacki, z aktorskim, reżyserskim, dyrektorskim i społeczno - wychowawczym umiał połączyć. Z politycznych wychodzą założeń i mierzą w cel polityczny uroczo pogodne komedie Aleksandra Fredry, oczywiście nie w tym stopniu, jak sobie to wyimaginował prof. Kucharski. Czyż trzeba przypominać „Dziady", „Kordiana", albo „Nieboską", która mimo niedającej się stuszować ideologii kontrrewolucyjnej, pomimo koszmarnych urojeń, z „lęku syna szlacheckiego" zrodzonych, dzięki najsurowszej, na jaką sobie u nas kiedykolwiek pozwolono, krytyce klasy posiadającej, dzięki szczytnie pojętej roli poety w społeczeństwie i dziś jeszcze pewien walor moralny posiada.

Komu mało byłoby na to dowodów, jak można w teatrze sztukę z pożytkiem społecznym i politycznym godzić, niech, nie sięgając do tragików greckich, bezimiennych twórców średniowiecznych widowisk religijnych, pamięta tylko o Szekspirze, Molierze, Beaumarchais, Fryderyku Schillerze lub Wiktorze Hugo, niech sobie przypomni biedaczynę, muzykusa z partykularza, Stanisława Moniuszkę, któremu zawdzięczamy jedyny dramat ludowy, ideą demokratyczną przepojony, w dobie „Wiosny Ludów" powstały i jej ożywczym aromatem tchnący — „Halkę".

„Łódź Teatralna" Nr 2 (10).

Julian Tuwim

DO PROSTEGO CZŁOWIEKA

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
przylepiać zaczną obwieszczenia,
gdy „do ludności", „do żołnierzy"
na alarm czarny druk uderzy
i byle drab i byle szczeniak
w odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
że trzeba iść i z armat walić,
mordować, grabić, truć i palić;
gdy zaczną na tysiączną modłę
ojczyznę szarpać deklinacją
i łudzić kolorowym godłem,
i judzić „historyczną racją"
o piędzi, chwale i rubieży,
o ojcach, dziadach i sztandarach,
o bohaterach i ofiarach;
gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
pobłogosławić twój karabin,
bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
że za ojczyznę — bić się trzeba;
kiedy rozścierwi się, rozchami
wrzask liter z pierwszych stron dzienników,
a stado dzikich bab — kwiatami
obrzucać zacznie „żołnierzyków" —
— O, przyjacielu nieuczony,
mój bliźni z tej czy innej ziemi!
wiedz, że na trwogę biją w dzwony
króle z panami brzuchatemi;
wiedz, że to bujda, granda zwykła,
gdy ci wołają: „Broń na ramię!",
że im gdzieś nafta z ziemi sikła
i obrodziła dolarami;
że coś im w bankach nie sztymuje,
że gdzieś zwęszyli kasy pełne
lub upatrzyły tłuste szuje
cło jakieś grubsze na bawełnę.
Rżnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
zawołaj, broniąc swej krwawicy:
„Bujać — to my, panowie szlachta!".

Biblia cygańska 1929.

Władysław Broniewski

ŻYDOM POLSKIM

Z polskich miast i miasteczek nie słychać krzyków rozpaczy,
padli, jak hufiec bojowy, warszawscy obrońcy getta...
Słowa me we krwi nurzam, a serce w ogromnym płaczu,
dla Was, o Żydzi polscy, polski tułaczy poeta.

Nie ludzie, lecz psy okrwawione, i nie żołnierze, lecz kaci,
przyszli, by śmiercią porazić was, wasze dzieci i żony:
gazem w komorach wydusić, wapnem w wagonach wytracić
i szydzić z umierających, bezbronnych i przerażonych.

Lecz wyście podnieśli kamień, by cisnąć nim w kanoniera,
który nastawiał działo, by dom wasz zburzyć do szczętu...
Synowie Machabeuszów! i wy potraficie umierać,
podjąć bez cienia nadziei walkę, we Wrześniu zaczętą.

Oto, co trzeba wyryć, jak w głazie, w polskiej pamięci:
wspólny dom nam zburzono, i krew przelana nas brata,
łączy nas mur egzekucji, łączy nas Dachau, Oświęcim,
każdy grób bezimienny i każda więzienna krata.

Wspólne zaświeci nam niebo ponad zburzoną Warszawą,
gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni:
każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo,
i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.

Wiersze zebrane. Sp. Wyd. Wiedza 1948.



Scena z filmu „Ostatni etap" w reżyserii Wandy Jakubowskiej

Zofia Nałkowska

Wojna ostatnia, tak w swej istocie i przebiegu odmienna od wojen dawnych, stanowi wciąż jeszcze materiał tematyczny dzisiejszej twórczości literackiej. Jest też czynnikiem, wyznaczającym jej uczuciowe napięcia i formalne środki wyrazu. Można by powiedzieć, że domaga się środków wciąż nowych — jakgdyby wszystkie dotychczasowe były wciąż nie wystarczające do oddania niezwykłości i wymiarów zjawiska.

Dzikość i barbarzyństwo nie były rzeczą nową w tej wojnie. Cechami, odróżniającymi ją od barbarzyństwa i dzikości wojen dawnych, zaskakującymi i wstrząsającymi przez swą nowość, były: naprzód jej oparta na ostatnich zdobyczach wiedzy czystej technika bojowa i statystycznie planowana śmiercionośność, po wtóre — całkowita dla napastnika opłacalność, nawet rentowność imprezy, wreszcie starannie historiozoficzna i filozoficzna motywacja.

Akustyczność haseł, zrodzonych z bergsonowskiej intuicji i kultu podświadomości, zapewniła szeroki posłuch propagandzie, korzystającej umiejętnie ze zdobyczy psychologii doświadczalnej do szerzenia mistyki rasy i nadludzkich uprawnień indywidualności. Uroczyste palenie dzieł kultury, zarażonych intelektualizmem i humanitarnym nowatorstwem, miało zapewnić bezpieczeństwo władaniu tego systemu wierzeń na daleką przyszłość.

„Wieś" nr. 32—33 (161—162).

Jerzy Zawieyski

Wojna w Palestynie trwa i trwać będzie dotąd, dopóki gra polityków nie uzna jej zbędności. Sumienie świata odzywa się gdzieniegdzie kwileniem pisklęcia. Wiem, że i ten głos nie będzie miał innej siły. Polacy znają nieczułość sumienia świata i pamiętają niejedną gorzką chwilę swojej całkowitej samotności. Pamiętamy rok 39-ty, gdy na horyzoncie wyglądaliśmy z utęsknieniem pomocy aliantów. Pamiętamy tragiczne chwile warszawskiego powstania.

Żydzi w Palestynie cierpią tak, jak cierpi każdy człowiek, którego dom się pali. Nie twierdzę, że tragedia Żydów jest największą tragedią świata, — ale fakty są bezsporne: giną ludzie, giną w obronie swego domu, swego życia, w obronie swoich nadziei i swojej miłości. Organizacja Narodów Zjednoczonych okazała całą swoją bezsilność i całą chwiejność. Tragedię ludzkich istnień przysłoniła polityka zimna, wyrachowana i bezwzględna. Ona, polityka, znieczula sumienia świata.

Jakkolwiek zakończy się ta wojna, w dziejach świata pozostanie na zawsze ten fakt, że dnia 16 maja zostało zrestytuowane starożytne państwo narodu żydowskiego pod nazwą „Izrael". Prześlijmy ziemi żydowskiej, ziemi świętej słowa Mickiewicza, który je wypisał sto lat temu w swoim składzie zasad z roku 1848:

„Izraelowi, bratu starszemu... braterstwo!..."

„Tygodnik Powszechny" Nr 25 (170).

Antoni Słonimski

DWIE OJCZYZNY

W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą.
Dla zwyciężonych — wzgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.

W twojej ojczyźnie, gdyś hołdy składał —
Przed obce trony,
W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,
To krwią zbroczony.

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety —
Tom w etażerce.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej
Jeśli jej nie znasz?

Wybór poezji. Sp. Wyd. „Czytelnik". 1946.

Zygmunt Wojciechowski

Prof. historii U. P.

Praca niniejsza ukazała się w druku po raz pierwszy w roku 1933 w tekście od niniejszego węższym, uzupełnionym 10 mapkami. W czasie okupacji autor ogłosił drukiem tekst znacznie rozszerzony, jednak bez ilustracji kartograficznej. W obecnym wydaniu tekst został tu i ówdzie skrócony, główne linie rozwojowe zostały jednak jeszcze silniej uwypuklone.

Praca powyższa spotkała się z licznymi replikami i polemikami ze strony niemieckiej, przeczącej głównej tezie autora o zasadniczym znaczeniu utraty ziem nadodrzańskich przez dawną Polskę i o roli ziem macierzystych w jej rozwoju dziejowym. Zmienili Niemcy to stanowisko dopiero w czasie wojny. Herbert Ludat „Dozent an der Reichsuniversität Posen" ogłaszając w roku 1942 pracę o początkach Państwa Polskiego i stwierdziwszy, że „dyskusja (z uczonymi polskimi) po roztrzygnięciu zbrojnym została zakończona", i że tematy te „po zlikwidowaniu („Ausschaltung") Państwa Polskiego i nauki polskiej straciły polityczną aktualność", pozwolił sobie najpierw na odwołanie tezy o normańskim początku Polski. Następnie zaś, w pracy o biskupstwie lubuskim, w całości zgodził się na pogląd autora o zasadniczym znaczeniu Odry i Ziemi Lubuskiej dla rozwoju stosunków polsko - niemieckich. Wydawało się tym panom, że skoro podbito Polskę, nie trzeba już broni „zastępczej" w postaci tez historycznych o braku zmysłu państwowego u Polaków, względnie, że można już powiedzieć prawdę o roli ziem nadodrzańskich skoro ich rewindykacja przez Polskę przestała być — w rozumieniu niemieckim — aktualna.

O tym wszystkim trudno spokojnie mówić, nie mniej autor pragnie czytelnika upewnić, że książkę tę, aczkolwiek w obecnej redakcji powstała ona w czasie okupacji, w pierwszych 4 miesiącach 1942 r., pisał z pełnym poczuciem odpowiedzialności za wypowiadane twierdzenia, w tym przekonaniu, że uczony odstępujący od założeń etyki naukowej nie spełnia zadań, nałożonych nań przez społeczeństwo.

Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań. 1945.



K. Dunikowski. Głowa wawelska



Prof. dr Julian Krzyżanowski



Maria Dąbrowska

Leon Kruczkowski

Świat jest skomplikowany, ale i prosty zarazem — prosty dla tych, którzy uczciwie pragną go zrozumieć. Pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna klasowa, dąży w istocie swojej do bezklasowego społeczeństwa — podczas, gdy przeciwnicy klasowości tak czy inaczej pragną podział klasowy utrzymać. Drugi pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna materialistyczna, w istocie swojej zmierza do autentycznego humanizmu — podczas, gdy pięknoduchy mieszczańskie sankcjonują porządek rzeczy, w którym człowiek jest sługą materii, niewolnikiem ekonomiki. Trzeci zaś pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna kolektywistyczna, w istocie swojej prowadzi do warunków, umożliwiających każdemu najpełniejszy rozwój osobowości ludzkiej — podczas, gdy za mieszczańskimi „indywidualistami" stoi ustrój, skazujący najszersze masy na wyłącznie biologiczne niemal bytowanie.

Człowiek i powszedniość, Warszawa — 1946.

Hugo Steinhaus

O „INTROWIZORZE"

Znanych jest wiele metod lokalizacji ciał obcych przy pomocy promieni Roentgena. Posiadają one wszystkie jedną lub kilka spośród następujących cech:

1) Operacja wymaga zaciemnienia lub użycia specjalnych aparatów optycznych przez chirurga, które uniemożliwiają normalne widzenie pacjenta (Hasselwander).

2) Operację wykonuje się podczas prześwietlania, przez co chirurg jest narażony na działanie promieni Roentgena (Szkoła wiedeńska).

3) Pozycja ciała obcego wynika pośrednio z obliczeń lub konstrukcji geometrycznych opartych na fotografiach lub obrazach ekranowych (setki metod). Z konstrukcyj lub z prześwietleń otrzymuje się mniej lub więcej automatycznie pozycję wskazówek skierowanych w stronę ciała obcego (ostatnia metoda angielska).

4) Zdejmuje się pacjenta z dwóch lub kilku punktów i chirurg wyznacza intuicyjnie pozycję ciała obcego względem pacjenta patrząc na te zdjęcia (ulubiona metoda).

Wszystkie te metody mają specyficzne wady. Ich cechą wspólną jest to, że nie dają odpowiedzi na pytania „gdzie".

Właściwą odpowiedzią jest „tu"! a metody opisane wyżej dają tylko liczby, kierunki, nawet obrazy: ale te obrazy są tylko rzutami punktu szukanego z centrum, którego położenie względem tego punktu jest znane tylko w przybliżeniu, ma płaszczyznę tez tylko w przybliżeniu określoną.

Gdy na nie patrzymy a potem przeniesiemy wzrok na pacjenta, już nie możemy odpowiedzieć umysłowo na pytanie „gdzie": nawet stereoskop daje wizję, która znika w chwili patrzenia na pacjenta.

Pomysł „Introwizora" jest prosty. Gdy włożymy perłę do szkatułki i postawimy ją za szybą a następnie ustawimy przed szybą jaskrawą imitację perły symetrycznie do prawdziwej, to po zamknięciu szkatułki dalej „widzimy" perłę w szkatułce, jak gdyby jej ściany były przezroczyste.

Miejsce, w którym pojawia się obraz nie zależy od stanowiska obserwatora, efekt optyczny jest dokładnie taki sam, jak przy prawdziwym widzeniu perły w szklanej szkatułce.

Przypuśćmy, że znaleźliśmy sposób na ustawienie pacjenta za szybą a paciorka przed szybą symetrycznie do ciała ukrytego w ciele pacjenta: to dałoby nam możność operowania w pełnym świetle dziennym a nasze ruchy byłyby kierowane naturalnym widzeniem szukanego przedmiotu, dokładnie tak samo jak się to dzieje, gdy w życiu codziennym chwytamy celnie przedmiot widoczny.

Nasza metoda korzysta z promieni Roentgena, jednak tylko do ustawienia „paciorka": lampę Roentgena gasi się po ustawieniu. Wymagany efekt optyczny pozostaje i światło dzienne go nie niweczy...

Aparat został wynaleziony przez mnie w lutym 39 roku, jego historia znana jest dokładnie roentgenologom wówczas lwowskim, profesorowi d-rowi Emilowi Misiewiczowi z Uniwersytetu Łódzkiego i profesorowi d-rowi Witoldowi Grabowskiemu z Uniwersytetu Wrocławskiego. Oni to pomagali mi przy pierwszych próbach, a dr Bong sam montował pierwsze modele. Model wrocławski został zbudowany z subwencji Min. Zdrowia dzięki poparciu dziekana Grabowskiego (kosztował bez lampy 6000 — sześć tysięcy złotych). Zasada introwizora została opatentowana w Polsce; zgłoszenie miało datę pierwszeństwa 8 marca 1938 r. patent został udzielony. Ponadto zgłosiłem pomysł w Holandii, w Niemczech, we Włoszech, we Francji i w Szwajcarii. Uzyskałem patent włoski i francuski; podczas wojny Niemcy i Szwajcaria uznały nowość wynalazku. Wyjaśnień co do dzisiejszego stanu tych spraw patentowych może udzielić prof. Suchowicki.

Maria Dąbrowska

Druga seria Pamiętników chłopów zawiera dziesięć prac, z których każda zasługuje na osobne i wnikliwe rozpatrzenie. Ponieważ w ramach słowa wstępnego nie można sobie na to pozwolić, poprzestanę więc na ogólnym scharakteryzowaniu całości. A raczej może po prostu na wprowadzeniu czytelnika w krąg wrażeń, których sama, obcując z tym zbiorem pamiętników, doznałam.

Przede wszystkim więc, żaden z tych dziesięciu pamiętnikarzy nie daje się podciągnąć bez reszty pod klasyczne pojęcie zasiedziałego włościanina - rolnika. Niełatwo jest wyliczyć rozmaitość zawodów, których ci ludzie próbują, zajęć, którym się z upodobania lub konieczności oddają, przygód, które ich wtrącały w coraz to inne środowiska i losy, typów życia, które naprzemian stawały się ich udziałem. Rozległa skala obejmuje tu, zda się, nie dziesięć, a kilkadziesiąt żywotów, nie jedną — lecz kilka warstw, czy też grup społeczno - gospodarczych, i conajmniej dziesięć zlekka lecz wyraźnie odmiennych poziomów kulturalnych, postaw duchowych, poglądów na świat, osobowości uczuciowych. Między tymi dziesięciu ludźmi znajdziemy zbogaconego chłopa - potentata i małorolnego z gatunku tych, co ani żyć, ani umrzeć nie mogą; gospodarza, spychanego pomału do rzędu proletariuszy i robotnika rolnego, dorabiającego się w pocie czoła odrobiny własnego gruntu. Znajdziemy dalej wiejskich rzemieślników: kowala, szewca, krawca, stolarza, murarza, bednarza; znajdziemy drobnego mieszczanina, ciążącego tyleż do handlu i rzemiosła, ile do roli; znajdziemy ogrodnika i hodowcę, a wreszcie — fachowego i niefachowego robotnika wielkiego przemysłu, górnika, blacharza, metalowca i nakoniec — emigranta sezonowego lub wieloletniego, żołnierza, wojennego wiarusa, wędrowca po wielkich szlakach świata i zaściankowicza, co nie wychodził z granic rodzinnej strony. W dziedzinie charakterów, temperamentów i wogóle życia duchowego spotkamy tu idealistę i trzeźwego praktyka, twardego przedsiębiorcę i pełnego czułości kontemplatora życia, łagodnego, życzliwego sceptyka i zgryźliwego lub zapalonego reformatora, pieniacza i niosącego zgodę miłośnika pokoju, radującego się entuzjastę i zrozpaczonego pesymistę, kutego na cztery nogi wygę i cichego prostaczka...

Z wszystkiego, cośmy tu powiedzieli, wynikałoby może wogóle, że pojęcie chłopa, uosabianego w postaci siewcy i oracza, jednolitego jak opoka, trwająca nieruchomo na dnie narodowego bytu, odbiega znacznie od rzeczywistości, która jest o wiele bardziej złożona i fantastyczna.

Słowo wstępne do Pamiętników Chłopów Ser. II. Inst. Gosp. Spółdz. Warszawa 1936.



Fr. Strynkiewicz. Rzeźba

WIERSZE NA KONGRES

Anna Kamieńska

PO WOJNIE

Wielka maszyna udręki Europa splątana z torów.
Noc zapada nad poczekalnią, ciemne piwo chluszcze w bufecie
Czarny kolejarz depce po głowach opadłych na kamienie.
Napuchły snem rany oczu, chleb na języku zaciężył.
Wydrzeć się z chrapliwego cienia! Zimny wiatr podnosi powieki.
Po peronie sunie papier, kołysze się skorupa od jaj.
Podpierają ciemność semafory. Jedna noc to mało,
Aby uwierzyć: za chmurami tkwi węzeł losów.
Miejsce ma swój wdzięk. Można by mieszkać,
Słuchać żabiego płaczu, nauczyć się zgiętego drzewa.
Lecz pogna dalej los spóźniony pociąg.
Ręce podnoszę ku tym, którzy nie wrócą do domów.
Odepchnęły ich jeziorne strony. Przez pień wiśni rodzonej
Przeszyto ostrą granicę, stacyjnej wody nabiorą w butelkę.
Deszcz cieknie po uszach, zorane twarze
Wspierają o kant walizki pierś dziewczyny.
Tak trzeba westchnieniem ojczyznę odrywać od miejsca,
Błąkać się ponad torami tamując pociągom ruchy,
Zadumami skracać nocne w polu przystanki.
Snu rzekę rozścielać po kraju, z którego mosty zdarto
I czekać na odjazd długo długo w mieście wymarłym.
Okiennica stuka, wróbel gnieździ się w jamie na piersi posągu.

Tadeusz Kubiak

WYZNANIE WIARY

To prawda — ocalałem. To prawda — przeżyłem
niejednego z przyjaciół najpodlejszą śmierć.
Ci w miłości poczęci, zrodzeni z niewjasty,
umęczeni pod znakiem rodzinnego miasta,
pół dziewczyną — pół rybą, od miecza srebrzystą,
zstępowali do piekieł by już nie zmartwychwstać,
by nie siąść po prawicy ani po lewicy,
bo uszarpane ręce miał ich Bóg uliczny
i pomylili strony świata, w chwili śmierci
wirując w żywym ogniu na urwanej pięcie.
Ale przyjdą nas sądzić — żywych czy umarłych.
Jak im w oczy spojrzymy? Łzy zacisną gardło.
Żyjąc wśród kupców chytrych niby Wenecjanie,
znając nie świętych, ale grzesznych obcowanie,
nie odpuszczając grzechu nawet własnym żonom,
choć to my, a nie one, hańbiliśmy domy,
w dniach nieprawości naszej, my — trujący światło
w źrenicach niewiast naszych, że do głębi zgasło —
nie wierząc w zmartwychwstanie tego, co umarło,
ślepi wiosną, gdy kwiaty rozsadzają ziarno,
którzy uszliśmy cudem z nocy Bartłomieja —
chcielibyśmy znać wiarę, miłość i nadzieję.
Wierzyć w kościół powszechny ludzi dobrych, prostych,
w żywot wieczny idei, w nadejście światłości.
Miłować ptaki, drzewa, wieże miast co smukłość
przydają swoim murom — tak podobne włóczniom.
I kłaść nadzieję w serca tych, co kładąc cegły
nie mogą o płomieniu zapomnieć piekielnym.

Anna Kamieńska

PIERWSZY DZIEŃ POKOJU

Naródź się pierwszy dniu złotego sensu. Ptaki i łodzie
otwierają skrzydła. Pełno jest wody. Jeżeli z pragnienia
wszystkie są bóle — pijcie, pijcie, pijcie.
Dziś, gdy liść grochu jest małą doliną,
a ruczaj płynie dnem każdej kotliny.
Gaśnie pożary — miłość, zemsta, smutek
niech swą gwałtowność topią w dniu pokoju.
Gdy głos sumienia gromki jak klask cepów,
każda muzyka jak świerk — szorstka, prosta
nieośliniona melodii powojem. Stań się dniu chyży.
Zenitalne światło skraca do punktu tęsknoty i cienie.
Wstajemy rano młodzi. Więcej
wspólnych się wstydzić nie będziemy godzin.
Rękami fabryk z chmur zdejmiemy
czarne niebo i dzień się stanie.
Od dziś syna noszę w imieniu na świadka przemiany.
Wy poczekajcie, jego towarzysze, tymczasem
bawiąc się w minut tykocie jak w piasku.
nim elektryczna pora przemian minie.
Wreszcie. Po takim dniu noc nie nastaje.
Nigdy cień tego nie powlecze czoła,
nad którym rozum swą cyfrę zapali.
Oka ślepotą, ucha głuchotą, palca odrętwieniem
nie dotknie dzień, który rozumieć przyjdą
pisarze nowi — oswobodziciele języka
psychiki pełnej szlamu nędz.

Stanisław Piętak

W PODRÓŻY

Myśli moja wierna, o, zamyślenie smutne!
Znowu mijam mój kraj tak znany mi z tworzenia
i dni przeżytych. Pociąg już pędzi, że utnie
drgającą szyję słońca. Idą, rwą wzruszenia,
w piersi od wspomnień, od słów, tchnień nadziei boli.
Oto żyto kwitnące, kopuły grusz zielone,
wsie w podniebnym uniesieniu wierzb i topoli
wiodą cienie krów i dzieci w obłoki strome.
Gdy widzę złoty kurz, chłopów przy koniach w polu —
gdy widzę pierwsze ślady zorzy nad chatami —
ach, gwizd pociągu, rozmowy podróżnych kolą
serce — tak chciałbym wysiąść, zostać z zjawiskami
mijanymi... I nie nie znaczy tu myśl, która
w drwinie twardej ukazuje bezsens marzenia.
— Co się łudzisz! — mówi — gdzie widzisz białe pióra
dymów, ludzie mrą, bo nie znają leczenia.
Komu potrzebny tu jesteś? Ptakom? Jedź, jedź dalej...
Kraju, kraju mój, rozumiem błądzenie moje
i chcę inaczej żyć. Już księżyc wschodzi z fali
zboża, pęka niebo, spływają nocy podwoje...
Chcę kochać ludzi, chcę im pomagać. Na drodze
upadnę, scałuję ślad znów piękna, ślad rosy,
a potem pójdę w chaty do tych, co stają w trwodze.
O, oni usną, gdy opowiedzą swe losy.

Mieczysława Buczkówna

DZIECIOM WOJENNYM

Małe — których oczom zabawka straszna:
samolot, karabin, bomba.
Smutne — powagą dorosłych, gdyż poznały
lęk w oczach ojca, darzone niespokojną pieszczotą.
Ciche — — nawpół nieme od za trudnych słów:
śmierć, obóz, więzienie, wojna.
Blade — bo w śnie wyły alarmy, groźną nocą
uczone modlitwy trwogi i niepokoju rąk,
tulone do ginącego głosu serca matek,
które wiedziały.
Opuszczone w płaczu, umierające w pociągach.
Mali chłopcy — twarz ojca z fotografii
przez łzy zwierała zemstą słabe piąstki.
Dziewczynki — w przytułkach, domach obcych
głodne, chore na samotność.
Jakże wam mówić bajki
uczone na niedobrej książce?

W OCZACH WOJNY

Raz jeszcze wzywam dni minionej grozy,
przeszłość dziś już niepojętą,
by wolnym wolność przypomnieć
i uczynić większą.
Ile nocy, ile nocy trującej ciemności
więziło nasze ciała.
Kościoły ludzkiego lęku
od ruchomych fundamentów huku
po wieże reflektorów dzwon syren wznosi
i burzył urywanym dźwiękiem.
Sny sięgające do pamięci wypadków,
przeczuć za dnia ukrytych -
zdzierały z twarzy przyłbicę odwagi.
Poznaliśmy ból gdy źrenice wypełniał cieniem
i usta zacinał linią niemej skargi,
poznaliśmy strach — gdy za dnia po omacku
szukać trzeba było bezpiecznej drogi.
Poznaliśmy głód — gdy chleba okruchy
wytrącały godność z bezsilnych rąk.
Poznaliśmy gniew, gdy wzbierał w uniesieniu
słabszy od siły i rodził czyny.
Poznaliśmy czas — wieczność minuty trwogi
i śmierć — trudną, bardzo trudną.
Wnętrzności dziejów dymią jeszcze i mają smak
gdy oczy na śmierć nieczułe
gwiazdy liczą w spokojne noce.
Widzę jak przesuwa się dzień
w granicę cienia...
Tym wierszem, w który silne głosy zbieram
i czyste — przypominam:
Dziecko z rączką pełną światła nie zbawiło świata,
kościoły nie stały puste, gdy budziła się wojna,
ministranci mali faszyści zmieniali komże na swastyki,
budowali krematoria.
Dziecko z rączką pełną światła
nie zbawi świata.
Egipt, Indie i Bałkan,
dolarowe kaplice, atomowa bomba:
„Proletariusze wszystkich krajów łączcie się".

Seweryn Wysłouch

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych*)

II. Wiosna Ludów i Odrodzenie Narodowe



Józef Lompa

Rok 1848 w dziejach ludu polskiego Ziem Odzyskanych stanowi datę przełomową. Hasła wolnościowe, jakie niosła na swych sztandarach rewolucja 1848 r., znalazły żywy oddźwięk w masach ludu polskiego pod pruskim zaborem.

Masowy udział polskich chłopów i robotników w demonstracjach rewolucyjnych 1848 r. na Śląsku, walka wyborcza o mandaty poselskie dla polskich przedstawicieli do pruskiego Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, powstanie prasy polskiej i pierwszych polskich organizacyj społecznych i kulturalnych na Śląsku — to fakty zdumiewające nie tylko dla ówczesnych niemieckich władców kraju ale i dla nas, niedostatecznie doceniających dynamizm narodowy polskich mas robotniczych i chłopskich.

Nauka polska bowiem, niemal powszechnie przyjmuje, że o świadomości narodowej ludu polskiego na Śląsku w 1848 r. mówić jest trudno. W postawie mas ludowych widzi raczej elementy społeczne przy bardzo nieznacznym uświadomieniu narodowym. Świadomość narodowa polska — to dopiero dzieło okresu późniejszego, okupionego walką szeregu dziesiątków lat z pruską polityką germanizacyjną drugiej połowy XIX w.

W świetle dokumentów zgrupowanych na Wrocławskiej Wystawie Historycznej problem ten wymaga dokładniejszego zbadania. Walka o język nabożeństw w pocz. XIX w. wskazuje, że masy ludowe doceniały znaczenie mowy polskiej i broniły jej z całym uporem jako swój skarb największy.

Czy solidarność z jaką występuje cała ludność polska w obronie swej mowy, co zgodnie podkreślają raporty pastorów niemieckich, nie dowodzi istnienia poczucia swej odrębności narodowej? Czym wyjaśnić zdecydowaną postawę, z jaką szły ludowe masy polskie do urny wyborczej w 1848 roku, by oddać głosy za swych polskich przedstawicieli? Lub popularność haseł narodowych, wysuwanych w 1848 r. przez Lompę, ks. Szafranka, Oszeldę, Minkusa i innych?

Lecz wróćmy do Wrocławskiej Wystawy Historycznej. Na szerokim tle ruchów wolnościowych 1848 r. w Europie zgromadzono szereg dokumentów, świadczących o żywym oddźwięku tych haseł wśród ludu śląskiego.

Rzecz zrozumiała. Pruska ustawa uwłaszczeniowa dotknęła bardzo ciężko chłopów śląskich, powodując nędzę wśród ludu. Oceniając wyniki akcji uwłaszczeniowej, memoriał duchowieństwa z 1848 r. wyraźnie stwierdzał: **„zrujnowano dobrobyt całych wsi całkowicie i chłop na gospodarstwie swym ubogim... z trudem utrzymuje biedne życie. Chłop jest zmuszony do pracowania jedynie dla królewskich podatków, dla ciężarów komunalnych, dla opłat kościelnych i dominialnych. Dominia wzięły sobie nieomal wszędzie najlepszą ziemię i zaokrągliły i powiększyły swoje folwarki, a także założyły wiele nowych folwarków".**

Jak stwierdza prof. Inglot przy uwłaszczeniu w pierw. połowie XIX w. oddali chłopi na Górn. Śląsku folwarkom 101 tys. morgów pruskich swoich gruntów, zatrzymując 169 tys. i uwalniając od serwitutów 629 tys. morgów lasów pańskich. Po regulacji zostało w posiadaniu chłopów niewiele ponad połowę dawniej trzymanych gruntów, a do tego silnie obdłużonych. Oczywiście że stan ten wywoływał silne poczucie krzywdy i niezadowolenia.

W latach 1846 — 1848 panowały na Górnym Śląsku według świadectw ówczesnych **„głód, zaraza i rozpacz".** Na skutek klęski nieurodzaju nastał wielki głód i drożyzna. Pojawił się wreszcie tyfus głodowy, który w ciągu dwóch lat pochłonął na Śląsku około 50.000 ludzi. W dużej mierze tym się tłumaczy masowy udział chłopów śląskich w rozruchach agrarnych.

Rzecznikami rewolucyjnych nastrojów mas ludowych na Śląsku byli przede wszystkim: poseł do Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie Krystian Minkus i przywódca chłopów cieszyńskich Paweł Oszelda.

Wyborcy powiatów kluczborskiego i oleskiego, oddając swe głosy na chłopskiego woźnicę Minkusa zobowiązali go równocześnie do walki między innymi o: 1. zniesienie ciężarów feudalnych, sądownictwa matrymonialnego, 2. wybór starostów przez ludność i usunięcie złych urzędników, 3. oddanie chłopom nieprawnie zabranej ziemi przez panów, i wreszcie 4. zatrudnienie na Górnym Śląsku tylko takich urzędników, którzy umieją mówić po polsku.

W żądaniach tych streszczały się dążenia społeczno-narodowe mas ludowych Śląska.

Postać Krystiana Minkusa poznajemy dokładnie z jego listów do wyborców. Trybun ludu śląskiego wzywał do wytrwania w walce gdyż: **„nie mamy żadnych powodów do obawy, bo stoimy na gruncie prawa, a ciemięzcy, tyrani, stoją na gruncie niesprawiedliwości — oni nie śmią już więcej przeciwko nam wystąpić, chociaż jesteśmy bezbronni, bo naszą podporą jest Bóg i jego moc i sprawiedliwość i on nam dopomoże..."**

W innym znów liście groził: **„że wszystkich panów musi się wypędzić i pozabijać, że wszyscy muszą sczeznąć."** W walce zaś nie cofać się: **„gminy mają się trzymać razem, nie bać się, iść śmiało naprzód, gdyż tyrani i obszarnicy muszą zginąć, a tyraństwo ustać".**

Inny znów z przedstawicieli przywódców chłopskich 1848 r. Paweł Oszelda, skazany na 4 lata więzienia za działalność rewolucyjną, w tych lapidarnych słowach zamknął swój program społeczno-narodowy: **„wolność i równość dla wszystkich! Wolnym odtąd nie tylko jest pan, ale i chłop, nie tylko Niemiec, ale i Polak."**

Krystian Minkus i Paweł Oszelda to przedstawiciele skrajnego radykalizmu mas ludowych Śląska 1848 r. W wypowiedziach ich na plan pierwszy wysuwają się hasła społeczne — walka z obszarnikami i kapitalistami o sprawiedliwość społeczną, o prawa ciemiężonego ludu śląskiego. Nie brak tu również i akcentów narodowych, zwłaszcza, kiedy idzie o język polski i równouprawnienie Polaka.

Nie byli oni jednak jedynymi przedstawicielami ludu śląskiego w pamiętnym roku Wiosny Ludów.

Rewolucja marcowa 1848 r. zmusiła króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV do znacznych ustępstw na rzecz ludu, a przede wszystkim do zwołania parlamentu celem uchwalenia postępowej konstytucji. W związku z tym w dniach 8 — 10 maja 1848 r. dokonano wyborów na posłów do Pruskiego Zgromadzenia Narodowego w Berlinie.

Dały one wynik dla Niemców zgoła nieoczekiwany: z powiatów polskich Śląska wybrano samych Polaków z ks. Józefem Szafrankiem, proboszczem bytomskim na czele. Ziemianie niemieccy przepadli przy wyborach, natomiast wybierano polskich chłopów, rzemieślników i drobnych kupców.

Na czoło polskiej delegacji parlamentarnej wysunął się ks. Józef Szafranek, który swymi wystąpieniami w Pruskim Zgromadzeniu Narodowym wywoływał burze wśród niemieckiej prawicy. Nie obeszło się nawet bez kar kościelnych, skoro został zasuspendowany przez biskupa wrocławskiego.

Spośród wniosków składanych przez ks. Szafranka znaczenie historyczne ma Deklaracja z dnia 21 lipca 1848 r.

Opierając się na uchwale Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie że **„wszystkie narody na ziemiach Związku Niemieckiego mają mieć zupełną swobodę narodowego rozwoju i zażywać równouprawnienia w kościele, szkolnictwie, literaturze, administracji wewnętrznej i sądownictwie"** ks. Szafranek żądał dla Śląska pełnego równouprawnienia Polaków, równych praw dla języka polskiego w szkole, w sądach i urzędach, udzielania nauki w języku polskim w tych powiatach lub miastach, w których język polski przeważa, w miejscowościach zaś dwujęzycznych zaprowadzenia obok języka niemieckiego również języka polskiego; mianowania tamże wyłącznie takich urzędników, którzy biegle władają językiem polskim, wreszcie w celu wyszkolenia odpowiedniej ilości urzędników dwujęzycznych należy w szkołach średnich, seminariach nauczycielskich oraz uniwersytecie wrocławskim zaprowadzić przymus nauki języka polskiego, należy otworzyć seminaria nauczycielskie tylko polskie oraz rozszerzyć seminarium filologiczne uniwersytetu wrocławskiego.

Wniosek ks. Szafranka został odroczony, ponieważ niemiecka większość parlamentu nie chciała dopuścić do obrad nad nim. Wówczas to działacze polscy ze Śląska przygotowali ponowną petycję w tej sprawie, pod którą zebrano 2.500 podpisów z 200 gmin, reprezentujących wolę półmilionowej ludności polskiej Śląska.

Jak widzimy słowa ks. Szafranka **„macierzyńska mowa jest kluczem do wszelakiego moralnego i politycznego wychowania ludu"** wypowiedziane w sejmie pruskim, stały się hasłem dla całej ludności polskiej Śląska.

Nie tylko jednak trybuna parlamentarna była widownią walk o prawa ludu polskiego pod zaborem pruskim. Rok 1848 to data narodzin prasy polskiej na Śląsku. W



Paweł Stalmach

dniu 6 maja 1848 r. wyszedł pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego" poprzednik „Gwiazdki Cieszyńskiej" czołowej pozycji polskiego czasopiśmiennictwa na Śląsku pod redakcją niezmordowanego Pawła Stalmacha. W czerwcu 1848 r. powstaje w Bytomiu „Dziennik Górnośląski", który skupia działaczy ruchu odrodzeniowego na Śląsku z Józefem Lompą na czele.

Ci dwaj pisarze odegrali olbrzymią rolę w pierwszej fazie budzenia się świadomości narodowej ludu śląskiego.

„My włościanie Ślązacy z Górnego Śląska, zamieszkując od wieków te ziemie, sądzimy się sami być prawymi jej dziedzicami, a zatem żądamy, aby narodowość nasza przyznaną nam była a równe jak i niemiecka prawa mieć mogła, tj. żądamy, aby po szkołach niższych uczono tylko po polsku, a język niemiecki ma być tylko jako inne np. francuski, traktowany. Niech też w szkołach naszych uczą, jak to przed laty działo się na ziemi naszej, tj. dziejów Polski. Niech ksiądz, nauczyciel i urzędnik mówią i piszą do nas po polsku, a też wszystkie sprawy w urzędach po polsku mają być trzymane, bo my po niemiecku nie rozumiemy." (Dziennik Górnośląski 23 września 1848 r.).

Tak pisał Józef Lompa z miasteczka Olesna, pisarczyk i pomocnik organisty, nauczyciel w pamiętnym roku Wiosny Ludów.

Słowa zaś te głęboko zapadły w dusze śląskiego ludu, który opuszczony przez wszystkich, poniewierany, doprowadzony do nędzy materialnej i moralnej przez niemieckich obszarników i kapitalistów twardo bronił swej polskości w oczekiwaniu lepszego jutra.

Niestety, rok 1848 nie miał jeszcze przynieść owego lepszego jutra.

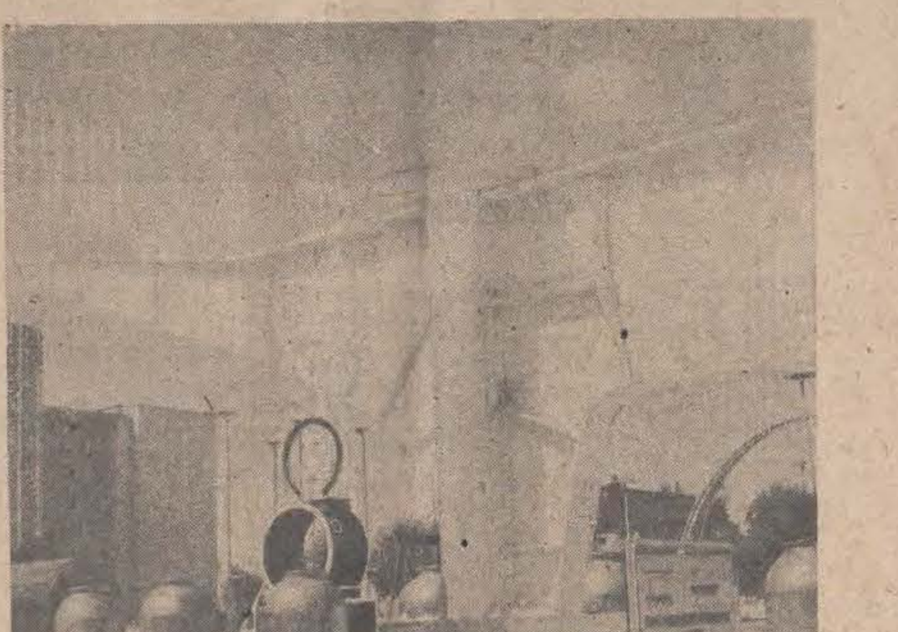
Po wielkich nadziejach nadeszły gorzkie rozczarowania. Reakcja wzięła górę. Poprzestano na rzuceniu ludom drobnych koncesyj.

Władze pruskie nie zapomniały o przywódcach polskich z 1848 r. Mściły się na nich, jako na budzicielach świadomości narodowej ludu śląskiego. Zamarła na pewien czas prasa polska na Śląsku.

Niemniej ziarna zostały rzucone.

(c. d. n.)

*) Patrz: część I, „Wieś" nr 32—33 (161 — 162).



Z wystawy Ziem Odzyskanych

W OSTATNIM NUMERZE 32—33 (161—162)

z dnia 8—15 sierpnia 1948 r.

Wincenty Styś

Zagadnienia mechanizacji rolnictwa

(artykuł dyskusyjny)

LIST DO REDAKCJI „WSI"

Obywatelu Redaktorze!

W ostatnim numerze kwartalnika „Ekonomista" ukazał się mój artykuł pod tytułem: „Zagadnienia mechanizacji rolnictwa", zawierający moją koncepcję ustrojową, na której się opiera doświadczalna wieś „Wilczkowice" w powiecie wrocławskim. Ponieważ koncepcja ta jest krzyżową tkaniną elementów kolektywnych i indywidualistycznych, może ona wywołać wśród czytelników duże zainteresowanie. Swego czasu wprowadziła niemal w zdumienie brytyjskiego ministra odbudowy Silkina.

Gdy wydrukujecie artykuł u siebie oddacie tym przysługę sprawie, gdyż trzeba, by większa liczba osób zapoznała się z koncepcją i ją ewentualnie przedyskutowała, a tymczasem „Ekonomista" dociera do rąk zaledwie kilkuset osób, z których tylko garstka zajmuje się problemami rolnictwa.

Wyrażam nadzieję, że Redaktor Król zechce mnie zapewne zaatakować, ja Mu odpowiem i będzie sprawa puszczona w ruch dyskusyjny. Dodam jeszcze, że przyjęcie mej koncepcji uważałbym za idealne stadium wstępne do uspółdzielczenia produkcyjnego wsi.

Łączę wyrazy poważania.

Wincenty Styś
Świeradów — Zdrój
Sanatorium ZUSU „Chorzowianka" 15. 8. 48.

UMIESZCZONE poniżej rozważania opierają się na założeniu, że kraj nasz wszedł w fazę rewolucji przemysłowej, w następstwie której w okresie krótszym od życia jednej generacji z kraju rolniczego stanie się przemysłowym.

Jeżeli zmieni się struktura naszego kraju, to zmieni się także jego struktura zawodowa. Już trzyletni plan odbudowy gospodarczej zapowiada zmniejszenie się ludności rolniczej w cyfrach absolutnych. Mianowicie ludność rolnicza i nierolnicza ma wynosić w tysiącach:

	1946	1947	1948	1949
ludność rolnicza czynna i bierna	12.680	12240	12.110	12.020
ludność poza rolnictwem	10.620	10.660	10.890	11,080
razem	23.300	22.900	23.000	23.100

W tym samym czasie ludność zawodowo czynna w rolnictwie w wieku 15—59 lat ma spaść z 7.440.000 do 7.060.000 głów. A przecież trzyletni plan odbudowy jest tylko pierwszym krokiem na szlaku uprzemysłowienia. W ślad za nim pójdą dalsze kroki prawdopodobnie jeszcze szybsze. Toteż można uważać za pewnik, że cyfra ludności rolniczej tak czynnej jak i biernej będzie się stale zmniejszała, podobnie jak to miało miejsce we wszystkich krajach, które przechodziły lub przechodzą przez okres industrializacji. Kurczyć się zatem będzie podaż rąk roboczych w rolnictwie.

Według głośnego przed wojną obliczenia J. Poniatowskiego [1]) było w Polsce w dniu 1 stycznia 1937 r. 8,8 milionów nadmiaru ludności rolniczej. Opierając się na tym obliczeniu oraz nie rozróżniając między przeludnieniem wsi, a nadmiarem rąk roboczych, niektórzy uważali, że Polska posiada niewyczerpalny w praktyce rezerwuar sił ludzkich w swym rolnictwie. Wobec tego jednak, że przeludnienie wsi spowodowało daleko idące rozdrobnienie gospodarstw i pociągnęło za sobą olbrzymie marnotrawstwo pracy wskutek wadliwości form organizacyjnych produkcji, faktyczne bezrobocie w rolnictwie było daleko mniejsze. Landau, Pański i Strzelecki [2]) szacowali je na dzień 1 stycznia 1935 r. na 2.400.000 głów, z czego na województwa centralne przypadało 900, na południowe 800, na wschodnie 500, na zachodnie 200 tysięcy osób. Nie sposób dokładnie obliczyć, ilu z tych „bezrobotnych" należało do mniejszości narodowych: ukraińskiej, białoruskiej, żydowskiej, niemieckiej i czeskiej, których nie mamy już w obecnych naszych granicach. Gdybyśmy stanęli na stanowisku, że procent rdzennych Polaków był wśród bezrobotnych taki sam, jak procent ludności rzymsko-katolickiej na wsi (65,1 proc.), otrzymalibyśmy dla r. 1935 cyfrę 1.562.000 osób, która to liczba do wybuchu wojny zapewne wzrosła, conajmniej do 1.600.000 głów. Co się stało potem? Działania wojenne, wyjazd setek tysięcy chłopów do Niemiec na roboty, tułaczka emigracyjna po różnych krajach i częściach świata, oraz masowe rzezie organizowane przez terrorystów ukraińskich musiały pokaźnie zredukować liczbę bezrobotnych chłopów. Ale jeszcze silniej oddziałała w tym samym kierunku emigracja ze wsi do miast wyludnionych wskutek wytępienia ludności żydowskiej przez zbirów hitlerowskich. Ze znacznie zmniejszoną już cyfrą bezrobotnych wiejskich przystąpiliśmy do wykonywania reformy rolnej. Rozbijając wielkie obszary folwarczne na setki tysięcy drobnych jednostek, zwiększyliśmy zapotrzebowanie rąk roboczych w rolnictwie, redukując niewątpliwie jeszcze bardziej bezrobocie na wsi. Reszty dokonała akcja osadnicza na Ziemiach Odzyskanych i postępująca odbudowa przemysłu.

Czy mamy jeszcze bezrobocie na wsi? Rzecz to wątpliwa. Mamy z pewnością w dalszym ciągu nadmiar ludności wiejskiej w tym sensie, w jakim obliczał go Poniatowski, tj. z punktu widzenia pewnej optymalnej struktury i odpowiadającej jej optymalnej gęstości zawodowo czynnych na 100 ha użytków rolnych. Ale przy tym ustroju rolnym, jaki posiadamy, bezrobocie w rolnictwie zostało zdaje się całkowicie rozładowane lub jest bliskie rozładowania. A przecież brakuje nam w rolnictwie Ziem Odzyskanych jeszcze około miliona ludzi, których mamy z przeludnionych południowych obszarów państwa wyciągnąć. Zapowiadane i oczekiwane przesuwanie mas ludzkich z rolnictwa do innych zawodów może wobec tego wywołać brak rąk roboczych na wsi.

W tym stanie rzeczy już obecnie warto zastanawiać się nad tym, w jaki sposób należy organizować nasze rolnictwo, by mogło ono wykonać swe zadania przy pomocy zmniejszonej liczby pracowników. Oczywiście raz wkroczywszy na drogę racjonalizacji nie będziemy się na niej zatrzymywać, lecz dążyć będziemy do maksymalnego efektu. Gdyby wzrostowi nakładu pracy w rolnictwie towarzyszył równoległy wzrost produkcji, ubytek siły roboczej mógłby być groźny. Tymczasem tak nie jest ze względu na bardzo silne w rolnictwie oddziaływanie prawa zmniejszającego się przychodu. Przy danym poziomie wiedzy rolniczej prawo to wyznacza dla każdej rośliny granicę maksymalnego wzrostu i owocowania, a przez to ogranicza wydajność zasianej nią powierzchni. Jeżeli granica wydajności ziemi jest nam w ten sposób dana przez przyrodę, to ludzie zrobią najmądrzej, jeżeli będą się starali uzyskać to, co jest do uzyskania możliwe najmniejszym wysiłkiem, tj. przez zastosowanie tylko takiej ilości pracy, jaka do osiągnięcia danego celu jest niezbędnie potrzebna. Wypływa stąd postulat redukowania ludności rolniczej do koniecznego minimum.

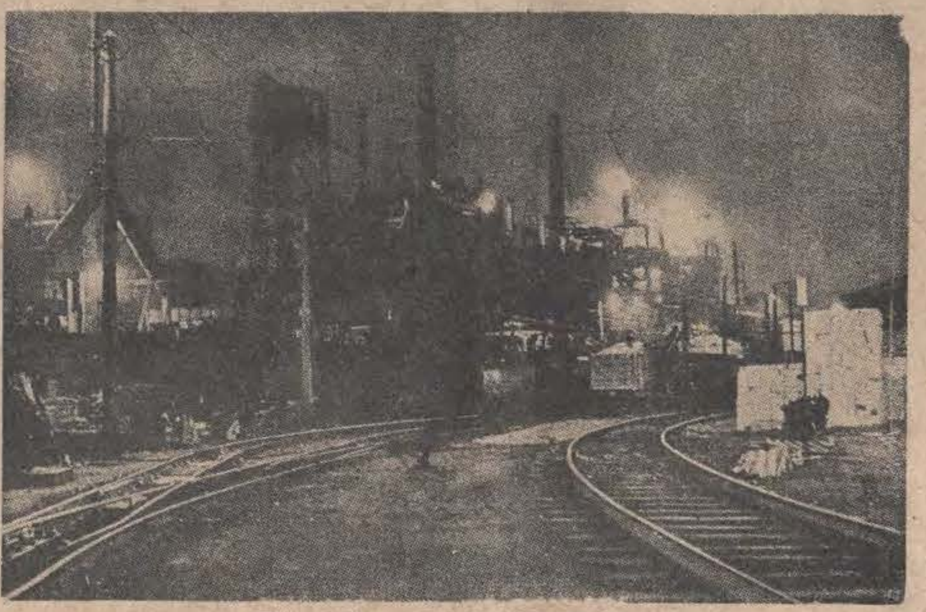
Stany Zjednoczone zatrudniają w rolnictwie mniej niż 20 proc. swej zawodowo czynnej ludności, a jednak nie tylko nie brakuje im ziemiopłodów, lecz wprost przeciwnie, posiadają ogromne ich nadwyżki na wywóz. Niskie procenty ludności rolniczej mają także inne przodujące pod względem zamożności narody.

W czasach wielkiej depresji ekonomicznej lat 1929—36 niektórzy nasi ekonomiści podziwiali „pracochłonność" drobnych gospodarstw rolnych, stwierdzając z zadowoleniem, że dzięki nim problem bezrobocia nie jest w Polsce zbyt ciężki. Nie dostrzegali oni, że idąc dalej po linii ich rozumowania łatwo można by dojść do wniosku, iż najlepszym sposobem zlikwidowania bezrobocia byłby nawrót do drewnianego pługa i innych prymitywnych narzędzi, gdyż podniosłoby to znacznie „pracochłonność".

Jeżeli tego rodzaju stanowisko zasługiwało już wówczas na krytykę, to tym bardziej musimy się go wystrzegać obecnie w zmienionej gruntownie sytuacji. Wytyczną naszego postępowania musi być teza Smitha, wedle której potrzeby odczuwane przez ogół obywateli tym lepiej będą mogły być zaspokojone im bardziej celowo zastosowaną będzie praca, którą naród dysponuje. W świetle tej tezy kierowanie dwu ludzi do zadania, które zupełnie dobrze i łatwo mógłby wykonać jeden, jest szkodliwe. Stwarza ono pozory zatrudnienia, lecz będzie to zatrudnienie nieproduktywne. Praca ludzka jest najcenniejszym środkiem produkcji. Dlatego naród, który ją marnotrawi, nie może osiągnąć dobrobytu.



Wieś na Nizinie Śląskiej



Huta Julia w Bobrku k/Bytomia

W jaki sposób możemy zredukować ilość pracy zastosowanej w rolnictwie, bez równoczesnego obniżenia ilości i jakości produktów? Najważniejszym środkiem do tego celu jest zastępowanie pracy ludzi pracą maszyn. Wszystkie kraje o niskim odsetku ludności rolniczej są bardzo zaawansowane pod względem mechanizacji swej produkcji rolnej.

Jednym z podstawowych warunków mechanizacji jest odpowiednia struktura rolna.

Wieś złożona z mnóstwa drobnych i do tego jeszcze położonych w szachownicy gospodarstw nie może i nie będzie mogła nigdy zrobić z maszyn właściwego użytku. Ekonomicznie bowiem można je zastosować tylko na wielkich powierzchniach, przeznaczonych pod uprawę jednorodnych roślin.

Z trzech powodów małe gospodarstwa nie nadają się do zastosowania maszyn. Pierwszy z nich można by nazwać finansowym, drugi technicznym, trzeci społecznym.

Trudność finansowa polega na tym, że gospodarstwa małe mają szczupłą produkcję. Gdyby chciały posiadać pełne wyposażenie techniczne, koszty stałe (amortyzacja i oprocentowanie kapitału tkwiącego w maszynach) obciążałyby w nich tak silnie jednostkę produktu, że kosztowałaby ona gospodarza więcej, niż może za nią uzyskać na rynku. Musiałby on więc do każdego centnara zboża dokładać i poszedłby wnet z torbami. Dlatego woli poprzestać na skromnym wyposażeniu technicznym. Ponieważ jednak zastępuje on kapitał pracą w stopniu większym, niż to odpowiada optymalnemu stosunkowi wynikającemu z cen obu tych czynników produkcji, koszty jego są większe niż koszty gospodarstw, które dzięki swym optymalnym rozmiarom mogły sobie pozwolić na pełne wyposażenie w maszyny.

Gdyby trudność finansowa była jedyną przeszkodą w stosowaniu maszyn przez małe gospodarstwa, łatwo można by ją usunąć, tworząc spółdzielnię maszynową, obsługującą większą ilość drobnych gospodarstw. Żniwiarka — wiązałka o zdolności żniwnej 200 ha w ciągu miesiąca jest z pewnością nieopłacalna w gospodarstwie o powierzchni 5, czy nawet 10 ha. Natomiast może się opłacić, jeżeli będzie obsługiwać kilkadziesiąt takich gospodarstw, mających razem powierzchnię około 200 ha zbóż do zżęcia.

Ale trudność finansowa nie jest jedyną. Przyłącza się do niej trudność techniczna, w istocie rzeczy jeszcze gorsza. Mianowicie gospodarstwa drobne mają tak małe powierzchnie pod poszczególnymi kulturami, że stosowanie maszyn przy ich uprawie staje się często niemożliwością. Gospodarstwo o obszarze 10 ha, nawet całkowicie skomasowane, przy 7-letnim płodozmianie i kilkunastu kulturach ma poletka o powierzchni co najwyżej 1,5 ha. Na tak małym polu nie sposób jest ekonomicznie stosować maszyny. Dotyczy to zwłaszcza traktora. Orka nim będzie utrudniona przez konieczność ciągłych nawrotów, w czasie których maszyna idzie na małym biegu, tracąc szybkość, zużywając więcej paliwa i prędzej się amortyzując, podczas gdy jej praca jest jakościowo gorsza, wskutek działania siły odśrodkowej. Kto chce poznać wagę tego argumentu, ten niech przypatrzy się, jak pięknie pracuje traktor posuwając się w linii prostej i jakie trudności ma on do zwalczania przy nawrotach. Im krótsze i węższe pole, tym większy procent strat wywołanych nawrotami. Zdając sobie z tego sprawę niektórzy ekonomiści agrarni i znawcy mechaniki rolnej, rzucają hasło: „Wyprodukujmy traktor mały i tak obrotny, by mógł się poruszać swobodnie na najmniejszych nawet polach". Nie ulega wątpliwości, że traktor taki da się skonstruować i że będzie on maszyną pożyteczną, gdyż niezależnie od sposobu, w jaki zorganizujemy nasze rolnictwo, zawsze znajdą się możliwości jego zastosowania, czy to na jakichś z natury małych polach, czy do poruszania maszyn stosunkowo lekkich, nie wymagających zatem wielkiej siły pociągowej.

Lecz chociaż mały ciągnik ma obok wielkiego miejsce zapewnione, nie wydaje się możliwe, by mógł on objąć wszystkie zadania i stać się podstawową maszyną naszego rolnictwa.

Za wielkim, silnym traktorem jako narzędziem orki przemawiają następujące względy:

1) Mając silniejszą konstrukcję łatwiej wytrzymuje on wstrząsy towarzyszące pracy. Przy równie solidnym wykonaniu i równie starannej obsłudze dłużej trwa i rzadziej się psuje.

2) Ma w stosunku do swej siły mniejszą wagę i wymaga mniejszego zużycia stali, smarów i paliwa na 1 H P.

3) Przy takiej samej ilości pracy ludzkiej wykonuje w jednostce czasu znacznie większe zadania. Ciągnąc pług o 4 — 5 korpusach szybciej orze, poruszając na szosie 2 — 3 przyczepki zamiast jednej szybciej przewozi towary. — Korzyść ta ma tym większe znaczenie, im mniejsza jest podaż wykwalifikowanych traktorzystów.

4) Wobec dłuższej trwałości i większej wydajności, a wskutek tego mniejszej ilości silnych traktorów, mniejsza jest ilość remontów i mniejsze zapotrzebowanie na warszta-

---

[1]) Poniatowski: „Przeludnienie wsi i rolnictwa" str. 58. Tenże: „Rozmiary przeludnienia rolnictwa w świetle krytyki". „Rolnictwo" VIII, tom IV, zesz. 2.

[2]) Instytut Gospodarstwa Społecznego: „Bezrobocie wśród chłopów" str. 247.

ty mechaniczne. Jest to szczególnie ważne w kraju mającym mało obrabiarek i mało wykwalifikowanych mechaników.

5) Dotychczasowa historia maszyn poucza, że we wszystkich prawie działach produkcji budowano stopniowo coraz większe, coraz silniejsze, a przez to coraz wydajniejsze typy. Jeśli chodzi o trakcję, tendencja ta jest szczególnie silna. Używamy coraz większych okrętów, lokomotyw, aut ciężarowych, samolotów itp. Nie ma powodów, dla których traktor miałby pod tym względem stanowić wyjątek. Podobnie jak koń ciężki wyparł lekkiego z rolnictwa najbardziej zaawansowanych gospodarczo krajów, tak silny traktor odniesie zwycięstwo nad małym, choć obrotnym.

Uwagi wypowiedziane o traktorze odnoszą się w znacznym stopniu do innych maszyn. Większe młockarnie, siewniki, kultywatory, opielacze i żniwiarki wydajniejsze są od mniejszych. Oczywiście nie powinno się pod tym względem popełniać przesady i żądać np. pługa zdolnego orać 100 skib odrazu. Jak w każdej innej dziedzinie, tak i tu istnieje pewne optimum, którego bez strat ekonomicznych nie można przekroczyć. Jest wątpliwe, by przy obecnym stanie techniki można było w sposób ekonomiczny używać pługów o więcej jak 6 korpusach. Być może optimum leży nawet nieco niżej, gdzieś przy 4 korpusach. Zdolny do poruszania takiego pługa i bron doń przywiązanych traktor byłby może najlepszym traktorem. Ale należyte wykorzystanie takiego zespołu wymaga stosowania go na polach mających przynajmniej kilkanaście hektarów powierzchni. Jak to osiągnąć w kraju o strukturze rolnej opartej na drobnych i z reguły w szachownicy leżących gospodarstwach?

Trudności techniczne związane z zastosowaniem wielkich maszyn w małych gospodarstwach nie na tym się kończą. Posiadane spółdzielczo maszyny musiałyby być w ciągu dnia nieraz 2—3 razy przerzucane z jednego pola na drugie. Tu pracę po kilku godzinach skończono, tam trzeba ją zaczynać. Nie zawsze da się przejechać bezpośrednio z pola na pole. Nieraz trzeba wrócić aż do wsi, by przy pomocy wychodzącej z niej innej drogi polnej można było osiągnąć drugie pole, na którym z kolei maszyna ma pracować. Wywołuje to oczywiście stratę cennego czasu i podnosi koszty.

Ostatnia wreszcie trudność jest społecznej natury. Jeżeli jedna spółdzielcza maszyna obsłużyć ma kilkadziesiąt drobnych gospodarstw, to od razu powstaje kwestia, które spośród nich ma obsłużyć najpierw. Czas posiada w rolnictwie, wobec zmienności warunków atmosferycznych, ogromne znaczenie. To też na tej trudności załamują się powszechnie spółdzielnie maszynowe. Członkowie zarządu mają skłonność kierować maszyny przede wszystkim na swoje pola, co wywołuje protesty innych członków. Nim spółdzielnia rozwinie się na większą skalę, już się rozpada i zanika.

Mając w pamięci to, co wyżej było powiedziane, możemy teraz rozstrzygnąć zagadnienie, co należy czynić: czy przystosowywać maszyny do istniejącego ustroju rolnego, czy na odwrót ustrój nagiąć do wymogów nowoczesnej techniki. Wysoko ceniąc dążenia do skonstruowania maszyn o wszechstronnej użytkowości, musimy jednak szukać możliwości takich modyfikacji ustroju, które by ułatwiły mechanizację.

Jakiej natury miałyby być te modyfikacje?

Dotychczasowa historia gospodarcza daje nam dwa przykłady radykalnej przebudowy ustroju rolnego w państwach, które przechodziły przez proces szybkiej industrializacji.

Pierwszy przykład to „enclosure movement" w Anglii w latach 1779—1825. W okresie tym kraj ten przeżył nie tylko „rewolucję przemysłową", lecz także prawdziwą rewolucję agrarną, w toku której jego ustrój rolny, nie różniący się poprzednio od ustroju innych krajów Europy Zachodniej, uległ gruntownemu przeobrażeniu. Warstwa chłopska, która od wieków trzymała ziemię płacąc za nią czynsze lordom duchownym i świeckim, została drogą „ogrodzeń" (enclosure) pozbawiona ziemi i zanikła. Część chłopów poszła do miast, by pracować tam w przemyśle i handlu, część wyemigrowała do kolonii, reszta spadła do rzędu robotników rolnych. Tylko najzamożniejszym udało się przejść do klasy kapitalistycznych farmerów, którzy gospodarowali na utworzonych w toku omawianej reformy dużych kilkusetmorgowych farmach.

Pogrom chłopstwa w W. Brytanii był tak kompletny, że te bardzo nieliczne wioski, które przypadkowo uszły komasacji i dzięki temu zachowały do dzisiaj swych chłopskich rolników, są obecnie jako osobliwość celem wycieczek turystycznych, a domy i urządzenia ich podlegają opiece specjalnej komisji dla ochrony zabytków kulturalnych. Omawiana reforma nie była rezultatem planowej akcji prowadzonej przez państwo, lecz wynikiem dążenia klasy właścicieli ziemskich do zwiększenia swych korzyści gospodarczych przez podwyżkę renty gruntowej. Tym niemniej przyspieszyła ona bardzo rozwój przemysłu w Anglii, zwalniając z rolnictwa wielką ilość siły roboczej i umożliwiając skierowanie jej do przemysłu. Jest rzeczą jasną, że wzór angielski jest dla nas całkowicie niemożliwy do naśladowania, gdyż warunki ekonomiczne, socjalne i polityczne są u nas całkiem inne.

Drugi przykład radykalnej przebudowy ustroju rolnego to kolektywizacja w Związku Radzieckim. W przeciwieństwie do pierwszego przykładu była to akcja planowa, mająca na celu nie tylko redukcję siły roboczej czynnej na odcinku rolnictwa, lecz także obrócenie lwiej części nadwyżek finansowych osiąganych w rolnictwie na rzecz przeprowadzanego forsownie uprzemysłowienia. Zdaje się przedwcześnie byłoby wypowiadać ostateczny sąd o kołchozie. Przechodził on pewne trudności w swym początkowym stadium. Są one w Polsce znane i stanowią nieraz przedmiot dyskusji. Mniej natomiast mówi się o jego stronach dodatnich. Mało kto np. zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby nie kolektywizacja rolnictwa, tempo rozwoju przemysłu radzieckiego byłoby znacznie powolniejsze, a w takim razie historia świata wzięłaby prawdopodobnie inny obrót. W szczególności, gdyby nie kołchozy nie byłoby traktorów, a w konsekwencji także nie byłoby tych licznych i olbrzymich ich wytwórni, które, produkując masowo doskonałe czołgi podczas wojny, walnie przyczyniły się do unicestwienia hitlerowskiej próby ujarzmienia świata.

Wincenty Styś

C. d. n.

Stanisław Cieślak

PLANY REGIONALNE (II)*)

4 POTRZEBNA INICJATYWA TERENU

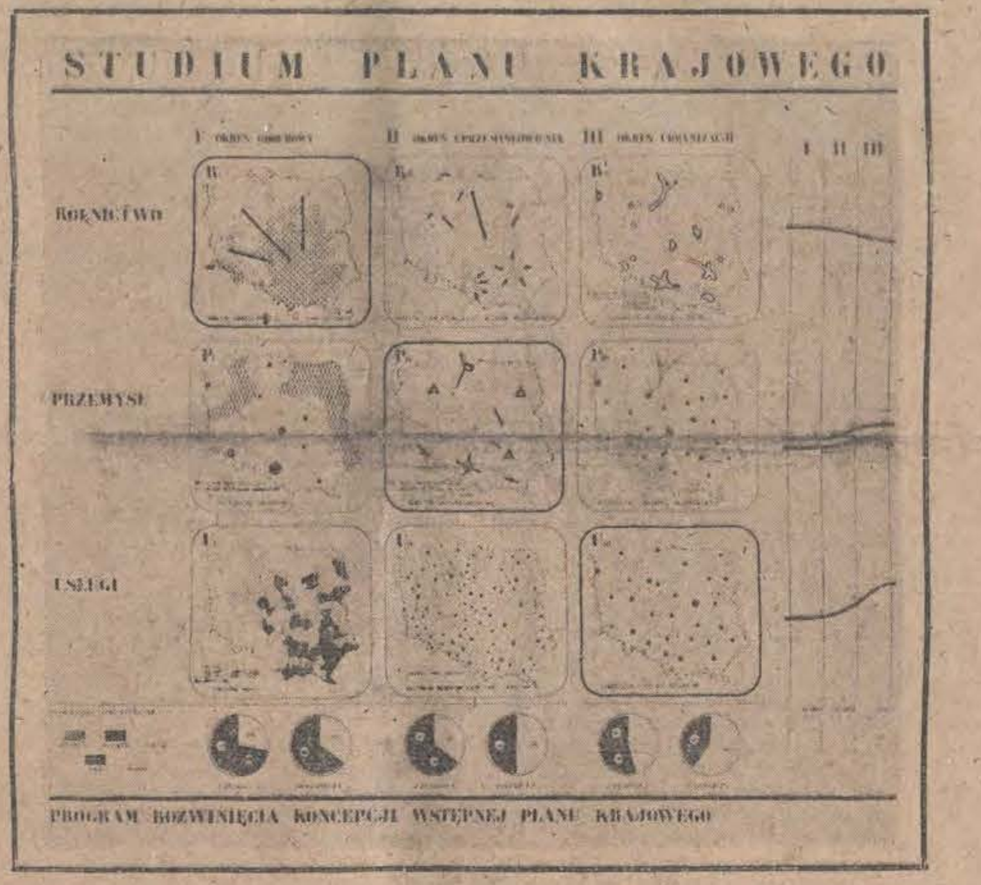
Kształtować całość procesów gospodarczych, czyli prowadzić gospodarkę planową można tylko z jednego ośrodka dyspozycji. Stąd czy to na odcinku spółdzielni, czy to na odcinku gospodarki samorządowej, czy wreszcie na terenie gospodarki prywatnej w ramach gospodarki planowej nie ma mowy o jakiejś innej polityce gospodarczej niezgodnej z ogólnymi wytycznymi planu. Dlatego też plan gospodarczy państwa nie może być sumą mechaniczną autonomicznych planów: przemysłu państwowego, spółdzielczości, gospodarki prywatnej itd., ani sumą autonomicznych planów regionalnych.

Państwowy plan gospodarczy musi być przeniknięty jedną i tą samą myślą, we wszystkich dziedzinach, musi być organiczną całością.

Ale jedność planu gospodarczego nie oznacza wcale, że każda inwestycja musi być planowana centralnie w Warszawie. Przeciwnie, kanonem gospodarki planowej w państwie demokratycznym jest, że musi on być związany z potrzebami mas pracujących. Szeroka inicjatywa terenu, czy to poszczególnego zakładu przemysłowego, czy poszczególnego chłopa, czy spółdzielni lub Powiatowej czy Gminnej Rady Narodowej jest elementem koniecznym planu gospodarczego.

Bez tej szeroko pojętej inicjatywy gospodarczej mas pracujących plan gospodarczy stałby się bezduszną, niezrozumiałą dla szerokiego ogółu, sumą cyfr i paragrafów.

Plan jest czynnikiem mobilizującym masy, jest zawołaniem bojowym w walce o dobrobyt, w walce, której cele i środki są i muszą być powszechnie znane.



5. JAK POWSTAJE NARODOWY PLAN GOSPODARCZY?

a) Najpierw Rada Ministrów ustala na wniosek Prezesa Centralnego Urzędu Planowania wytyczne w zakresie podstawowych zadań narodowego planu gospodarczego. Dla przykładu podać można, że np. wytyczne planu na rok 1949 obejmujące 77 punktów m. in. ustalają, że produkcja przemysłu państwowego w r. 1949 ma być wyższa o 21—23% w porównaniu z r. 1948, że będzie się dążyć do zwiększenia produkcji roślinnej o 14%, produkcji zwierzęcej o 13 do 15%, że przy budowie nowych zakładów przemysłowych będzie się brało pod uwagę przede wszystkim rejon Sandomierza, Rzeszowa, Lublina, Siedlec Białegostoku, Warszawy, Zagłębia Konińsko-Kłodawskiego, oraz rejonu nad Notecią itd.



b) Później poszczególni ministrowie sporządzają (w ramach ogólnych wytycznych ustalonych przez Radę Ministrów) plany odcinkowe, które obejmują gospodarkę państwową w danej dziedzinie, jak i gospodarkę samorządową, spółdzielczą i prywatną, te trzy ostatnie w zakresie, w jakim są one włączone do planu gospodarczego. Tak więc np. Minister Odbudowy w zakresie budownictwa mieszkaniowego składa wnioski dotyczące zarówno budynków wznoszonych przez państwo, spółdzielnie jak i budownictwa prywatnego, zarówno na wsi jak i w mieście.

c) Wreszcie, zgodnie z art. 3 dekretu z dnia 1.10. 1947 r. o gospodarce planowej — Wojewódzkie Rady Narodowe oraz Rady Narodowe m. st. Warszawy i Łodzi składają swoje opinie i postulaty dotyczące planu gospodarczego.

Na podstawie tych materiałów, powiększonych o własne opracowania, Centralny Urząd Planowania sporządza projekt narodowego planu gospodarczego, który po przejściu przez Radę Ministrów zostaje, w formie projektu ustawy przedstawiony Sejmowi.

Poszczególni ministrowie układając plany odcinkowe w swojej dziedzinie zawiadamiają wszystkie podległe sobie zakłady i instytucje nad którymi sprawują nadzór i kontrolę o wytycznych planu i o sposobie składania szczegółowych wniosków inwestycyjnych.

6. UDZIAŁ SAMORZĄDU W PLANOWANIU

Rozwój samorządu terytorialnego jest jedną z głównych trosk ruchu ludowego. Nic więc dziwnego, że i w dekrecie o gospodarce planowej z dn. 1 października 1947 r. znalazły się takie sformułowania, które stwarzają dla Wojewódzkich Rad Narodowych (a tym samym i dla niższych szczebli samorządu terytorialnego) realną możliwość uaktywnienia samorządu w dziedzinie planowania gospodarczego.

Trudno jednak już dziś wyraźnie i ostatecznie ustalić i zakres i metody pracy samorządu terytorialnego w dziedzinie planowania. Sprawa ta wymaga jeszcze wszechstronnej analizy i gruntownych uzgodnień. Pewne jednak punkty wydają się już dziś bezsporne.

Po pierwsze: jeśli Woj. Rada Narodowa ma wyrażać swoje opinie i decydować, to musi mieć do tego specjalny pomocniczy organ o charakterze społecznym. Tym organem są przewidziane w okólniku Rady Państwa z dn. 3 lipca 1948 r. **Komisje Planowania** Wojewódzkiej Rady Narodowej, które albo już istnieją, albo powstają przy Wojewódzkich Radach Narodowych.

Po drugie: Komisja Planowania Wojewódzkiej Rady Narodowej, jako czynnik społeczny powinna pracować w oparciu o fachowe komórki administracji państwowej. Odnośnie planowania komórkami tymi na terenie województwa są: Biuro Regionalne Centralnego Urzędu Planowania (dla planowania gospodarczego) oraz Regionalna Dyrekcja Planowania Przestrzennego (organ Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego**). Obie te komórki powołane są do stałego i systematycznego badania rozwoju gospodarczego danego województwa, śledzą jego potrzeby i możliwości, a wnioski z tych badań powinny udostępnić Komisji Planowania Woj. Rady Narodowej. Dlatego słusznie zarządzenie Rady Państwo przewiduje, aby członkami Komisji Planowania byli również i dyr. Biura Regionalnego CUP (w charakterze sekretarza) oraz dyrektor Reg. Dyrekcji Planowania Przestrzennego.

Po trzecie: główną troską Komisji Planowania Woj. Rady Narodowej powinny być inwestycje samorządowe, co wcale nie znaczy aby Komisja Planowania nie mogła wyrazić swojej opinii, lub decydować odnośnie **wszystkich innych inwestycji** dokonywanych na terenie województwa, czy to przez przemysł, rolnictwo, rzemiosło czy komunikację.

Po czwarte: inwestycje wielkie mają swych wnioskodawców, obrońców i kontrolerów w postaci fachowych Ministerstw i innych urzędów. Inwestycje rolnicze, spółdzielcze, drogowe, oświatowe, kulturalne są przeważnie inwestycjami drobnymi, które jednak przez swój masowy charakter nadają danemu województwu wyraźne, określone oblicze. Koordynacja w skali województwa drobnych inwestycji, ale występujących masowo, stanowi bardzo wdzięczne pole dla działalności Komisji Planowania.

Po piąte: nic nie stoi na przeszkodzie, aby w powiatach sprawnie pracujących, gdzie istnieje dostatecznie silny aktyw społeczny, który pracuje nad podniesieniem gospodarczym swego terenu zainteresować sprawami planowania gospodarczego również i Powiatowe Rady Narodowe, zachęcić je do powołania społecznych komórek planowania (np. w formie Komisji Planowania przy Pow. Radzie Narodowej lub w inny sposób), które będą ściśle współpracować z Komisjami Planowania przy Woj. Radach Narodowych.

7. MOBILIZACJA GOSPODARCZYCH DZIAŁACZY TERENOWYCH WOKÓŁ ZAGADNIEŃ PLANOWANIA

Zamykając artykuł stwierdzić należy, że planowanie gospodarcze w Polsce przestało już od dawna być przedmiotem zainteresowań jedynie centralnych czynników państwowych. W ramach jednorocznych i wieloletnich planów gospodarczych układa się już działalność większości warsztatów produkcyjnych. Trafne ułożenie planu, jego wykonanie i przekroczenie staje się ambicją coraz większego kręgu pracowników miast i wsi, a sam p l a n s t a j e s i ę z a w o ł a n i e m b o j o w y m, już nie jednostek a m a s.

Dlatego też właśnie na łamach „Wsi", która już w Lublinie stanęła do walki o nowe oblicze wsi polskiej; do pracy nad przebudową społeczną i gospodarczą środowiska wiejskiego, poruszamy te zagadnienia.

Bez mobilizacji bowiem wszystkich terenowych działaczy gospodarczych, bez ujęcia ich pracy i dania praktycznych wskazówek, w jaki sposób swą wieś, gromadę, gminę, czy powiat dźwignąć na wyższy poziom świadomości gospodarczej i wyposażenia technicznego — bez tego wszystkiego obszar Polski przemysłowo - rolniczej, Polski dobrobytu i sprawiedliwości pozostanie w stanie wyobrażeń i nie stanie się faktem. Dziś już w każdym województwie istnieją i społeczne i fachowe instrumenty planowania. Trzeba tylko chcieć się nimi posługiwać **i brać swoje sprawy w swoje ręce.**



*) Stanisław Cieślak, Plany regionalne, „Wieś" nr 30—31.

**) O zakresie pracy CUPP informuje: St. Cieślak, Gospodarcze planowanie przestrzenne, „Wieś" nr 25 (154), czerwiec 1948 r.

Witold Zalewski

ilustr. S. Cieloch

SPOTKANIE POD LASEM*)

Mijali krzyż. Kobyła przeszła z drobnego truchcika w leniwy stęp. Koła skrzypiały i klekotały, piasek przesypywał się, sycząc przez obręcze. Wyraźnie widział Antek na suchym, omszałym drzewie dwie dziury po jego celnych kulach — wczorajszych. Przypomniał mu się niepewny głos Szostaka: „Do krzyża jakoś nie bardzo — Antoś...". Więc mu wytłumaczył, co ten krzyż znaczy. Na jego ramionach jest napis. Teraz jeszcze raz przeczytał po lewej stronie: „Gdy Bóg z nami", po prawej — „któż przeciw nam...". „Ten krzyż" — mówił wczoraj do „Rudego" — „pamiętasz? postawił Bucyna, jak gospodarzył na Rudawce — nie wiesz poco? no, patrzaj, on jest zwrócony w tamtą stronę, tak, na folwark — to było do starego pite. Jak się żarli niby dwa brytany, teść z zięciem, wtedy gruby chciał staremu pokazać „co mi zrobisz, kiedy ze mną Pan Bóg trzyma..".



„Cić... Antoś".

„Widzisz. Stary podobno przed tym krzyżem nigdy czapki nie zdejmował. Dawniej. Teraz już zdejmuje".

I rąbali do krzyża, aż dzwoniło w uszach. Po prawdzie tu nigdzie nie ma drzewa w bliskości, a musieli wypróbować karabin. Pięćset złotych, które nakoniec wytargował Antek od „Rudego", to była niewielka pociecha, ale zawsze przybytek. A karabin był zołza niecelny i rakowaty w lufie, jak ospowata dziwka. A najważniejsze, że po wypadku z Piotrem, strach byłoby z niego strzelać....

Kobyła „Rudego" stąpała flegmatycznie, obijając boki ogonem. Nagle stanęła i podniosła zadnią nogę, żeby się podrapać, jak pies, po brzuchu. Antek nie poganiał. Do 11 było daleko; chciałby, żeby było jak najdalej; bał się trochę. Zośka zupełnie spokojna, przy nim tak nabierała odwagi, huśtała na rękach dziecko i coś mruczała. Specjalnie kazał małego ubrać w czyste szmatki i nauczył podsuwać pod oczy tym draniom. Najwięcej Szelążek był wrażliwy na dzieci...

Droga płynęła leniwie; pusto było po obu stronach na polach; niebo roztopiło się w błękicie; wysoko żeglowało kilka bocianów. „Jesień", powiedziała Zośka. Antek złapał się nagle za piersi. Namacał dłonią plik banknotów. „Psu do dupy" — żżymnął się — „tyle pieniędzy...". Żeby sobie zrobić na złość, zaczął obliczać, ile to mógł zarobić, gdyby się nie stało nieszczęście — za same trzy RKM musiałby Leszek wybulić sześć tysięcy, a karabiny — każdy niech po dwie setki....

Zaciął kobyłę batem i szarpnął lejcami — „wio cholero". Zdziwiona podbiegła parę kroków.

...I znowu nic z łączki. ...A ludzie mają ziemi do cholery. Akurat zaczynały się kartofliska chamejowych kułaków. A co on miał? — Dwie morgi piachu — do śmiechu! Czy nie pamiętał, jak każdej jesieni zginał plecy nad dworskimi kartoflami, jak się poniewierał po różnych tractwach, ciesielstwach, wszelkich wyrobkach, a muzykanctwo? To z rozkoszy? A fryzjerstwo? Wszystkiego się czepia, po to tylko, żeby żyć. I choćby się nie wiedzieć jak umęczył, to zarobił tylko na to najgorsze życie. We wojnę poszło mu lepiej. Od kiedy zrobił się pierwszym bimbrarzem — mógł sobie pozwolić na różne rzeczy.... Ale to wszystko nie dawało zabezpieczenia. Dopiero, jak kto miał ziemię, to był mocny. Byle marnota ludzka nabierała znaczenia na morgach. A on co? Gdyby był taki, jak wszyscy — nic by nie chciał od świata. Ale w nim się dusiły zdolności. Człowieka powinno się uważać nie podług tego, co posiada, ale podług tego, co potrafi zrobić. Leszek potwierdzał skwapliwie, że tak będzie po wojnie, Wożniak — kiedy mu Antek wyłuszczył swoje myśli — chwilę mrużył, jak to on, oczy, a potem powiedział: „jeżeli w kraju wygra rewolucja, to wtedy człowiek będzie znaczył tyle, co zrobi...". Dobre było takie społeczne zwycięstwo, niechby wszyscy mieli po równo ziemi — na początek.

„Oo, Antoś — Zysiek!", krzyknęła kobieta. Żyd siedział nad rowem, czarny w swoim chałacie i nieruchomy, jak kamień.

„Jak to się żydzina nie boi" — gdakała Zośka. Antek podciął kobyłę. Machnęła niecierpliwie ogonem, ale nie przyspieszyła kroku.

„Głupiaś" — mruknął Antek — „chodzić jeszcze im wolno...".

Zysiek wstał. „Dzień dobry, Staszaku", zaskrzypiał. Przetoczył się na pałąkowatych nogach przez rów, ciągnąc worek. „Prr... Antoni, do Woli Chomejowy... — Antoni, ja uszą de...", dreptał koło wozu.

Antek machnął ręką. „A siadajcie — prr..." — zatrzymał.

Wjechali w las. Kobyła znowu zwolniła na piasku.

...Każdemu po równo ziemi na początek — powtórzył Antek myśl. — A potem, co kto potrafi, niech pokaże... Grunta dworskie podzielone.... — młody sad.... Wydała mu się nagle niemożliwa taka zmiana życia na powszechny, dobry byt. Panowie wykręcą jeszcze wszystko ku swojej korzyści... Dopiero, jak się coś zdobędzie samemu, a zapłaci za to żywym groszem — to jest pewne...

„Cholera" zaklął... „Laboga — kot..." — powiedziała Zośka osłabłym głosem. Zając przeciął im drogę i zniknął w krzakach.

„Pszakrew — tfy" splunął za siebie Zysiek.

„Głupota..", mruknął Antek — „wio...", szarpnął lejce.

„Jedżecze na policje, Staszakowa?" — zaczął stary.

„Ano...".

Żyd cmoknął. „Niedobrze, uj niedobrze... ja was nie radze, Antoni..".

„Głupota" warknął Antek, „co zrobie? — poszedłbym do lasu, żeby nie..." wskazał brodą żonę i dziecko. Żyd pokiwał głową rozumiejąco.

„Pieniądze macie, co?".

„Trochę...".

„Nu, jak pieniądze jest, to nie bójta...., ja do was mówie.... Staszakowa....".

„Ale", bąknęła Zośka.

„Nie bójta..." nachylił się, „naszym nakazał trzy kylogram złota ..".

„O cholera", ruszył się Antek.

.....po niedzieli...., jak nie dasz, to wszystko pójdzie do ghetto — tak krzyczał... Wy wicie, Staszak — ghetto?.. Wicie... No... Mnie zrobili... — trup jestem... ale bierz, na... zdychnij, żeb cie cholera..." — zapienił się — „jeszcze dam... na, udław się, wszystko dam... Co ja mam — nic nie mam" — szarpnął chałat na piersi. — „Nic nie mam, a dam jeszcze... Kto chce zdychać?... Żeb cie cholera...", urwał. Stęknął.

Zośka odpowiedziała ciężkim westchnięciem. „Cholera" — mruknął Antek. Zdzielił kobyłę batem. Wypoczęta ruszyła raźnie kłusa po twardej drodze. Las rozbiegł się na strony. Pojedyncze świerki wyciągały ostre pazury. Wóz podskakiwał po korzeniach. Dziecko zaskuczało nagle cienko. Zośka jęła je huśtać, a Zysiek pochylił swoją brodatą twarz. „A co, a co?..." cmokał, wykrzywiał się, jak małpa. Małe zaczęło wrzeszczeć. „Zostawcie" — krzyknęła kobieta. Rozpięła bluzkę i wyłuskała mleczną pierś z koszuli.

Po lewej ręce mieli teraz stary las dworski. Ogromne rude sosny, świerki, choiny... Specjalnie sosny przyciągały wzrok Antka. Mało to się ich nadziabał siekierą... Za to teraz potrafił ocenić bogactwo. Dziedzice nie dadzą sobie wydrzeć takich skarbów bez walki. Na przykład stary, jakby tak musiał pójść z Rudawki... Uczyniło się Antkowi nagle ciepło koło serca. Nienawidził drania całą swoją siłą. Krew uderzała w skronie, ręce zaczynały drżeć, kiedy przypominał sobie ten wieczór.

Siedziało jaśnie państwo dokoła stołu nakrytego serwetą. A on pomiędzy nimi jak wilk schwytany. Policjant popychał go przed sobą i komenderował: „Stop". Znajdował się po środku pokoju. Twarz miał zawiązaną chustką, a cyklistówkę wciśniętą głęboko na oczy. — Mówić „Ręce do góry!" — rozkazał policjant. Antek nie mógł wydobyć głosu. Zacharkotał dziwnie. Pierwsza dziedziczka przybladła nieco. „Bardzo nam przykro, ale pomyliliśmy się, z całą pewnością tamten był szczuplejszy i wyższy, znacznie wyższy".

„....No bysiu!..." krzyknęła Zośka. Mały machał rączkami i gulgotał złośliwym śmieszkiem. Antek odetchnął mocno. Zerknął na odkrytą pierś żony — ciemna wilgotna sutka miała wyraźny ślad ząbków dziecka. „Ty, nie gryź matki!" Leciutko uszczypnął syna w policzek. Niebieskie oczy mrużyły się przed słońcem. Zaczynało coraz mocniej przypiekać. Dochodziła dziesiąta godzina. Zysiek wyciągnął się na grochowinie za wiązką i drzemał. Babie lato czepiało się ubrania. Na kłęby klaczy wystąpiły plamy potu, w kroku zaczęła się mydlić tłusta piana. „Mdła jest" osądził Antek. Ale mimo to szła teraz równym kłusem. Parskając rzucała zgrabnym łebkiem. Zapach jałowca splątanego gęsto nad podszyciem leśnym przesycił powietrze. „Zadali mi upokorzenia" drażnił się Antek. Władza była za nimi. Nie mógł uzyskać nic, chociaż łaził po posterunkach i sądach. Jeszcze go wyśmieli. Czegóż taki wrażliwy? Czy mu się stała krzywda?... Władza zawsze jest przeciwna chłopom. Przypomniał się Antkowi Leszek. Ten przynajmniej obiecuje iść na całego. A z ludowcami nie wiadomo, jak będzie. Za dużo wśród nich morgowców. Przeciw samemu Woźniakowi Antek nic nie miał. Ale teraz i tak droga do niego zamknięta.

— „Antoś..." — trąciła go Zośka — „a może dziadówka poszła przeskarżyć..."

— „Ale" — szarpnął się — „głupota... za mieszkaniem poszła — wiesz przecie..." sobie tłumaczył. Co by mogła donieść? — kombinował. Niepokoił go tylko jeden jedyny wypadek. Jasio z Tomaszewicy upił się u niego i machając brauningiem wrzeszczał: „Kto jest Janczarek — zobaczycie!... kto jest Staszak? — zobaczycie!" A dziadówka to słyszała..

— „Antoni wygnał Wagramską?" — spytał nagle Zysiek. Ze snu miał zaczerwienione oczy, jak królik.

— „Ano".

Żyd cmoknął. „Po co wy robicze wrogów? W takie biede...".

Antek nie odpowiadał. Wydało mu się, że słyszy brzęczenie motoru. Po chwili ustało. Od samego rana zły był na siebie, że nie potrafił się opanować na czas.

— „Biedna kobita" — ciągnął Zysiek — „dokąd sze podzieje? z dzieckami..."

— „Szlak ją trafi...". Gniew zatrząsł Antkiem. „Niech ją cholera zdusi razem z bękartami..."

— „Ale... Bede się martwiła dziadówką..." — dorzuciła Zośka.

Wzięli ostro zakręt i nagle uczyniło się Antkowi troche ciasno w piersi.

— „Niemce..." — stęknął Zysiek — „Stańcie Staszak..."

Motocykl i ciężarówka zbliżały się powoli.

„Kenkarte mam w porządku, Zośka też" — obliczył szybko Antek — „nic mi nie zrobią... — tylko ten Żyd... mógłby skoczyć w las...".

— „Siedź" — warknął. Gotów był go przytrzymać w razie czego. — „Co będzie..." — mruknął... Zjechał tuż nad rów, żeby zajmować jak najmniej drogi.

Motocykl kołysał się na wybojach. Rośli Niemcy patrzyli przed siebie przez ochronne okulary; w bliskości za nimi posuwał się samochód malowany kolorem zielonym. „Żandarmi..." — upewnił się Antek. Kierowca był w hełmie, a ten w przyczepce miał — teraz już było widać wyraźnie — brązowy otok na czapce.

„Pewnie oficer" pomyślał Antek — „za ludźmi jadą. Będą łapać. Może w Rudawce?" Obejrzał się — Zysiek klęczał na grochowinach, skulony, jakby się szykował do skoku. „Siedź, żydzie" zgrzytnął zębami. Zacisnął pięść. Pogroził.

„Antoni - co jest? — Antoni...".

Motocykl nadjeżdżał. Jak na złość, piach był tak kopny, że nie wypadało przyśpieszyć — jechali noga za nogą. Tamci też ledwie się posuwali. Motocykl warczał jak bąk. Ciężarówka zarzucała zadem w rozjeżdżonych koleinach. Zrównali się z motocyklem. Antek zerkał nieznacznie. Patrzyły na niego ogromne oczy w okularach, chwytał kątem ceratowy płaszcz kierowcy, pistolet przy boku.. Przejechali... Antek wytchnął. Teraz nadjeżdżała ciężarówka, pełna żandarmów w hełmach, przetykanych granatowymi mundurami.

„Haaalt!"... — spokojny głos z tyłu. Antek nie zrozumiał, tylko serce uderzyło mocno.



„Halt!" ostrzej i zaraz „Halt Jude!" — na całe gardło. Jednocześnie ciężarówka zahamowała zgrzytliwie, a za plecami jęknęło cicho. Kobyła jakby sama utknęła w piasku. Żandarmi spadali z góry na ziemię. Przez drogę brnął długim krokiem oficer.

Staszak zsunął się z wiązki. Obok dygotał Zysiek. Złość szarpnęła Antkiem.

Nie było widać oczu Żyda, bo nakrył je całkowicie powiekami.

„Antoś — o Jezu.." skamlała cienko Zośka.

„Powiem, że sam wlazł" postanowił Antek.

Oficer zdjął okulary. Pokazała się tłusta twarz. Sine oczy patrzyły z ciekawością na Antka. Zbliżył się na dwa kroki i stanął. Staszak zerwał czapkę. Za oficerem podeszło do wozu kilku żandarmów. Starszy zagadał coś po niemiecku. Antek pokręcił głową i rozłożył ręce nierozumiejąco. „Nyks ferszteje" wymówił.

„Nie wiesz" — zaczął nagle po polsku oficer — „że zabronione jest przewozić Żydów?"

Antkowi zrobiło się nie wiadomo czego gorąco; Niemiec mówił zupełnie spokojnie i bez gniewu, ale jego wodniste oczy ślizgały się z okrutną ciekawością po człowieku. Antek wciągnął głowę w ramiona

„On sam wlazł, sam — panie"...

Oficer skrzywił się i machnął niedbale ręką. Krzyknął coś do swoich. Krótki żandarm doskoczył do wozu. Szarpnął kłonicę.

„Będzie bił" przeraził się Antek. Zacisnął powieki. Naraz poczuł drążek w dłoni. Opuścił ramię, nie rozumiejąc, czego od niego chcą.

— „Nie lubisz Żydów, prawda?" rzucił uśmiechnięty lekko oficer.

„Nie lubię" odpowiedział szczerze Antek.

„Jaaa — przeciągnął Niemiec — bardzo dobrze..." — przerwa — „Zabijesz tego Żyda..." rzucił.

Antek chrapnął. „Jak to?" wyrwało mu się.

„Tą pałką" — Niemiec wskazał kłonicę. Uśmiech znikł z jego twarzy. — „No..." — wolno odpinał kabur — „bo będę musiał ciebie... Na, nie bądź głupi...".

Okropny strach obłapił Antka za nogi. Mimowoli obejrzał się na Zośkę. Zasłoniła się dzieckiem, które patrzało nic nie rozumiejące. Ścisnął z całej mocy kłonicę. Postąpił krok. Czuł, jak go prowadzą uważne oczy Niemców. Bał się spojrzeć na Zyśka. Ślizgnął się tylko wzrokiem po czarnym chałacie. Przemknęło mu przez myśl, że przecież nieraz bił ludzi.

„W skroń, żeby odrazu skończyć" — Podniósł rękę i wzrok jednocześnie. W ostatniej chwili dłoń mu się zwinęła. Zysiek krzyknął. Ciurek krwi spływał po jego twarzy. Biały był, jak papierek. Świszczący oddech wydobywał się z gardła. Oczy miał wciąż zamknięte. Antkowi wydało się, że teraz dopiero go spostrzegł.

„Na, dalej..." usłyszał groźną zachętę. Obrócił głowę. Niemiec wpatrywał się w niego skrzywiony.

„Antoni" — zabrzęczało w powietrzu. Wydało się Antkowi, że Zysiek prosi. Jednocześnie jakby się w nim coś obsunęło i pękło. Nie mógł uderzyć. Obrócił ciężko wzrok. Kobyła omiatała boki ogonem. Żandarm zdejmował hełm i obcierał czoło. Drugi stał rozkraczony nad rowem. Ta chwila wyciągnęła się do ostateczności. Naraz cienki krzyk Zośki zerwał ciszę. Antek poczuł, że Niemiec wyjmuje rewolwer. „Na — du..." Antek stęknął. Zakręciło mu się w głowie. Nogi osiadły w kolanach. Jakiś krzyk. Antek zobaczył granatowego policjanta Nowaka biegnącego przez drogę.

*) Fragment powieści pt. „Broń".

Witold Jedlicki

MITY RODZINNE*)



Adam Ważyk

I.

Rodzina mieszczańska w okresie swojego rozkwitu nie była przyjemną instytucją. Przyczyną tego była chyba ogólnie przyjęta i obowiązująca w owym czasie konwencja, nakazująca jakąś specyficzną cześć dla pieniądza, zarówno wtedy kiedy on był, jak i wtedy kiedy go nie było w dostatecznej ilości. Mówi się tak wiele o pruderii panującej w owym czasie; ale czyż pruderia nie była już zjawiskiem wtórnym; czyż nie powstała ona dlatego, że narządy płciowe uznano za wartość, którą można spekulować, która procentuje, którą należy oszczędzać?

Smutny był los członka rodziny mieszczańskiej, całkowicie zdeterminowanego przez ową konwencję, której musiał podporządkować wszystkie swoje potrzeby i zamiary. Myślę, że przeciwko takiej egzystencji rodziny mieszczańskiej buntował się głównie ów — według relacji biografów — wielki czciciel więzów rodzinnych Karol Marx. Nie mam pod ręką „Manifestu Komunistycznego", dobrze pamiętam jednak wyrazy oburzenia, jakimi Marx piętnuje komercjalizację stosunków w obrębie rodziny mieszczańskiej.

Adam Ważyk opisuje rodzinę mieszczańską (lata pierwszej wojny światowej) w okresie, w którym pozbyła się ona już owego kultu pieniądza. Tylko nieliczne postacie „Mitów" reprezentują ten stary styl życia. Jula Karczowa nie może się pogodzić z faktem, że jej dzieci utraciły cnotę i odmawia swojego poparcia dla poprzednio planowanego małżeństwa syna z chwilą, gdy przekonuje się, że jego narzeczona utraciła posag podczas wojny, ciotka Miklasowa chowa złote ruble w piwnicy — ale to już przeżytki, które los stawia przed faktem dokonanym. W czasach, opisywanych przez Ważyka nie ma już na ogół kultu pieniądza, który znamionował okres rozkwitu mieszczaństwa. Jest natomiast co innego. Rodzina mieszczańska jest w stanie rozkładu.

II.

Na czym polega rozkład rodziny mieszczańskiej u Ważyka? Odpowiedź na to pytanie wydaje mi się bardzo prosta. Prawie wszyscy bohaterowie Ważyka są neuropatami. Różne objawy neuropatii poszczególnych członków rodziny powodują niemożność współżycia, a co za tym idzie rozkład rodziny.

Ale trudność zaczyna się, gdy zadamy sobie pytanie, skąd się bierze neuropatia, jakie są jej przyczyny. Ważyk przez fakt, że neuropatia jest zjawiskiem ogólnym sugeruje, iż przyczyny jej należy szukać w dziedzinie socjologii, a nie psychologii. Niestety na tej sugestii się kończy. W całej książce nie mamy żadnych faktów społecznych, którymi moglibyśmy sobie jakoś wytłumaczyć psychikę bohaterów. Przepraszam, wiemy jedno. Wiemy, że bohaterowie należą do klasy burżuazyjnej inteligencji. Ale tłumaczenie neuropatii samą tylko przynależnością klasową jest przecież jawnym absurdem. Nie o to też chyba chodzi Ważykowi.

III.

Rodzina mieszczańska u Ważyka — po pozbyciu się krępujących konwencji z okresu poprzedniego staje się de facto instytucją bardzo przyjemną. Wewnątrz rodziny panuje niczym niezakłócony liberalizm, poszczególnym jej członkom pozostawia się maximum swobody osobistej. Ostatecznie, gdyby Ewa zapragnęła stracić cnotę w jakiś nieprzewidziany sposób, nie miałaby do czynienia z żadnymi sankcjami rodzinnymi ani obyczajowymi. Nie ma też u Ważyka tego arrywistycznego pędu do kariery czy bogactwa, który znamionował wszystkie mamy i wszystkich synalków z końca ubiegłego stulecia. Papa Karcz unika bogatej klienteli.

Mylnym wydaje mi się pogląd, że liberalizm niósł ze sobą rozprzężenie obyczajów; liberalizm pomógł jedynie ujawnić się rozprzężeniu które istniało już i wcześniej. Skoro więc te stosunki są tak przyjemne, jeżeli w rodzinie mieszczańskiej jest tak dobrze, skoro z drugiej strony rozprzężenie obyczajowe datuje się z okresu dawniejszego, skąd neuropatia?

IV.

Okres dojrzewania płciowego przypada normalnie na 13, 14 lata życia. W środowiskach inteligenckich i mieszczańskich moment rozpoczęcia życia płciowego w przeważającej ilości wypadków przypada na okres 18, 21 lat. Stąd przed każdym dzieckiem mieszczańskim powstawał problem tych czterech do ośmiu lat „bezczynności". Stare ciocie doradzały sport; to jednak rzadko rozwiązywało sytuację. W środowiskach wielkokapitalistycznych radzono sobie bardziej racjonalnie: syn od 15 roku życia dostawał od ojca w prezencie, utrzymankę. Również racjonalnie radzi sobie Max Blaufeld: liczba prostytutek w owym czasie w Warszawie była dostateczna, aby zaspokoić pragnienia pożądliwych synów mieszczańskich i inteligenckich (Nie zapominajmy, że Max Blaufeld dochodzi do najlepszych wyników naukowych ze wszystkich bohaterów książki). Niesłusznym wydaje mi się mniemanie, że problem ten istniał tylko u męskiej połowy młodzieży mieszczańskiej; świadczy o tym chociażby statystycznie stwierdzony większy odsetek onanizujących się dziewcząt niż chłopców. Natomiast rzeczywiście problem ten nie istniał w środowisku proletariackim. Jednakże dla większości młodzieży mieszczańskiej racjonalne rozwiązanie tego problemu było nie do zrealizowania.

W życiu seksualnym młodego mieszczanina był jeszcze drugi czynnik, który w pewien sposób urągał zasadzie racjonalizacji. To statystycznie stwierdzony fakt, że 80% chłopców ze środowiska mieszczańskiego rozpoczynało życie seksualne z dużo starszymi od siebie kobietami w wieku „balzakowskim", nie rzadko bliskimi krewnymi. Stosunek Karola Karcza z Zenobią Ożarowską jest wprost stereotypem. Dopiero po tym parodos w arkana miłości przeciętny młodzieniec mieszczański przerzucał się do stosunku z rówieśnicami. (Karol i Nastka — znowu stereotyp). I tu znów trzeba przyznać, że w środowisku proletariackim ten stereotyp przebiegał całkiem inaczej. Z tego jednak nie należy wyprowadzać wniosku, że fakt ten był jakimś specificum obyczajowości mieszczańskiej. Przecież raczej arystokratyczne, niż mieszczańskie środowisko miał na myśli Balzac, kiedy mówił, że pierwszą miłość mężczyzny jest w stanie zaspokoić tylko ostatnia miłość kobiety.

Te dwa fakty: przymusowa asceza i stosunki ze starszymi kobietami jako odbiegające od racjonalnych schematów układania sobie życia płciowego mogły stać się istotnie przyczyną neuropatii czy nawet zboczeń psychicznych. Fakty te mogą być właściwe dla pewnych środowisk społecznych; w innych zaś mogą nie występować. Tym niemniej ograniczanie ich do okresu upadku mieszczaństwa jest grubym uproszczeniem; trudno zaś przypuścić, aby podobne cechy neuropatyczne miała en masse arystokracja z okresu Balzaca. Zresztą w „Mitach" objawy neuropatyczne występują również u małego Albina Karcza. Przyczyną tego — jeżeli mamy konsekwentnie jej szukać w odstępstwie od racjonalnego schematu życia płciowego — może być przedwczesne uświadomienie seksualne. Ale przecież to jest z kolei właściwe dla środowisk proletariackich; w tym środowisku stało się to raczej przypadkiem; zresztą gdyby nie Flora Szemborkówna, która mieszczanką ani inteligentką bynajmniej nie jest, Albin długo jeszcze nie zobaczyłby nagiej kobiety.

Tak więc odstępstwa od racjonalnych schematów życia płciowego nie tłumaczą u Ważyka niczego. Zagadnienie: skąd się bierze neuropatia bohaterów „Mitów rodzinnych" pozostaje zagadnieniem otwartym.

V.

Przypomnijmy sobie jednak, od czego zaczyna się neuropatia Ewy. Ewa zostaje uderzona w twarz przez matkę. Czy wszystko to, co czyni Ewa dalej, jest normalną reakcją dziecka bitego przez rodziców? Nie, nikt w rodzinie Karczów bicia dzieci, jako metody pedagogicznej nie uznaje; to, co się zdarzyło w tym wypadku jest czymś zupełnie odosobnionym, przypadkowym. Ewa reaguje na uderzenie w twarz w sposób najbardziej nieoczekiwany. Podobnie nieoczekiwane są reakcje psychiczne innych postaci „Mitów". Niewątpliwie takie reakcje psychiczne i takie, często zupełnie nieuchwytne, motywacje czynów ludzkich, jakie spotykamy w książce Ważyka są możliwe, na pewno zaś nie są konieczne. Skoro więc mamy do czynienia z wypadkami szczegółowymi a nie prawami ogólnymi, pozostaje kwestią do dyskusji, czy książka Ważyka daje nam jakąś wiedzę o psychice ludzkiej.

Wydaje mi się natomiast, że na tych nieoczekiwanych reakcjach psychicznych polega właśnie owa neuropatia bohaterów powieści. W ten sposób stany patologiczne tłumaczy się przyczynowo danymi introspekcyjnymi. To chyba wystarczy, aby zaklasyfikować „Mity" do rzędu powieści psychologistycznych.

VI.

Nie wiem, czy i o ile można mówić sensownie o takim zjawisku jak rozkład rodziny; w każdym razie wydaje mi się pewnym, że kryterium jego nie mogą być — tak jak u Ważyka — stany psychiczne czy nawet psychofizyczne poszczególnych członków. Sądzę jednak, że potocznie przez termin: rozkład rodziny mieszczańskiej rozumiemy zanikanie jakiejś konwencji obyczajowej, która stanowiła o **to be or not to be** życia rodzinnego. Takimi klasycznymi konwencjami były obowiązki męża: utrzymanie pozostałych członków rodziny, obowiązki żony: zajmowanie się gospodarstwem, obowiązki obojga rodziców: wychowanie dzieci itp. Jeżeli któraś z tych konwencji zostawała naruszona, wtedy stan, jaki się na skutek tego wytwarzał, można istotnie w myśl potocznego rozumienia tego terminu nazwać rozkładem rodziny. Ważyk pokazuje nam taki stan w rodzinie Wieligockich. Wieligocki — typowy młodzieńczy rewolucjonista, piętnujący inteligentów, zasiedziałych w fotelach swoich gabinetów, dorabia się jakiejś takiej pozycji naukowej, na skutek idealistycznego gestu traci dalsze możliwości awansu naukowego, bogato się żeni, żyje z kapitału swojej żony i on — dawny rewolucjonista — daje się pożerać przez bezczynność. Przypadek jedynie — rewolucja bolszewicka, która pozbawia kapitału rodzinę żony oraz zmienione warunki polityczne, na skutek których Wieligocki otrzymuje katedrę i jest w stanie utrzymać rodzinę — sprawia, że rodzina Wieligockich, która, gdyby nic się nie zmieniło, nigdy by nie zeszła się z powrotem, w ten sposób wraca na normalne tory konwencji obyczajowej.

VII.

Kiedy Napoleon I zapytał Laplace'a, gdzie się mieści Bóg w jego systemie astronomicznym, Laplace odpowiedział, że w jego systemie Bóg jest elementem niepotrzebnym, że wszystko tam jest wytłumaczone bez uciekania się do jego interwencji. Bezsprzeczną zasługą pozytywizmu — jakiekolwiek ten kierunek mógł mieć dobre i złe strony — było definitywne wyeliminowanie z nauki Boga jako instancji metodologicznej, Boga jako przesłanki, na podstawie której wnioskowało się o rzeczywistości, Boga jako hipotezy jakiekolwiek fakty tłumaczącej. Bezsprzeczną zasługą pozytywizmu jest postawienie nauki na takim stopniu rozwoju, na którym Bóg był niepotrzebny, ponieważ niczego już nie tłumaczył. Bóg nie jest już również potrzebny i racjonalistycznym prądom post-pozytywistycznym; Karol Karcz niema racji kiedy obawia się, że Ambrodziewicz wyjedzie z Panem Bogiem. Ambrodziewicz obejdzie się doskonale bez Boga. Przed dylematem wiara — nauka nie stoi już na drodze ani wychowany na tradycjach ideologii zdrowego rozsądku Karol Karcz, ani Ambrodziewicz. Ambrodziewicz mówi co innego: „Nie lękajmy się metafizyki, musimy zdać się na to odczucie i pójść za nim bez skrupułów".

Równocześnie z rozkładem rodziny z innych podstawowych dla mieszczańskiego życia społecznego instytucji daje się zauważyć w latach kończących dziewiętnaste i rozpoczynających dwudzieste stulecie kryzys mieszczańskiej myśli racjonalistycznej, kryzys pozytywizmu. Wydaje mi się, że jego istotą była wielość równouprawnionych pod względem metodologicznym systemów metafizycznych, z których każdy podawał inną interpretację tych samych zjawisk. Rozwoju metafizyki w owym okresie w żadnym wypadku nie można uważać za cofnięcie się w stosunku do okresu poprzedniego; nie zapominajmy, że Comte rozumiał słowo: metafizyka w całkiem innym znaczeniu, że zarówno jego teoria trzech faz rozwoju ludzkości, jak i wszelkie późniejsze biologistyczne doktryny Spencera i Taine'a musiały zostać uznane za metafizyczne według kryterium, jakie przyjmował Wiener Kreis. Ta wielość systemów metafizycznych była tym czynnikiem który najbardziej podważał przekonanie o niezawodności dotychczasowych osiągnięć naukowych. Poincaré nie był jedynym, który to kwestionował. Konwencjonalizm Poincaré'go był ostatecznie jedną z odmian — bodajże najbardziej prowokującą do myślenia — pragmatyzmu. Pragmatyzm wraz ze wszystkimi „izmami" pokrewnymi: humanizmem, ekonomizmem, intuicjonizmem, fikcjonalizmem konwencjonalizmem wreszcie godziły w archaiczną definicję prawdy Arystotelesa i w ten sposób usiłowały podważyć od podstaw cały dorobek naukowy ludzkości.

Cóż dziwnego więc, że skoro stare konwencje metodologiczne zawiodły, próbowano stworzyć nowe? W parę lat po enuncjacjach Ambrodziewicza stanie w obronie wartości naukowej metafizyki jeden z najciekawszych umysłów owego czasu: Emil Meyerson. Ambrodziewicz stanie jednak przed nowym problemem, problemem trudniejszym niż dylemat wiara — nauka dla rozmaitych Teofilów Grodzickich, przed problemem: metafizyka, ale jaka? Ambrodziewiczowi nie będzie łatwo rozwiązać to zagadnienie.

*) Adam Ważyk: „Mity rodzinne", „Czytelnik", 1948.

„NORMALNE KONTAKTY"

Nota pt. „Kurierowskie lewactwo" („Wieś" nr 32/33 (161-162) otrzymała odpowiedź ob. A. P. z „Kuriera Popularnego" (nr 223/1002).

Ob. A. P. pisze, że „insynuacje „Wsi" są prowokacyjne, ponieważ zarzucają nam poglądy, których nie wypowiedzieliśmy, a które dziś słusznie są przedmiotem ataku ze strony partii robotniczych i komunistycznych. Gdzież to autor napastliwej notatki „Wsi" wyczytał w naszym reportażu, że już dziś „wszyscy chłopi, bez względu na ich stan majątkowy, razem z księżmi i byłymi właścicielami folwarków chcą zakładać spontanicznie spółdzielnie produkcyjne"? Któż to jest skłonny nie doceniać akcji wychowawczej i walki klasowej, jaką się na wsi toczy?"

„Reportaż umieszczony w naszym piśmie nie jest wypowiedzią „pana dziennikarza", który przypadkowo znalazł się na wsi i mówi o niej jak ślepy o kolorach. Wielu z nas posiada normalne kontakty z chłopami, ponieważ są to po prostu nasi ojcowie, czy bracia".

„Natomiast „pan literat" popełnia zasadniczy błąd twierdząc, że nie ma dziś chłopów, którym odpowiada spółdzielcza gospodarka, że dopiero akcja wychowawcza zdoła ten stan zmienić. Tacy chłopi — drogi panie — są, ba, byli już w 1906 i w późniejszych latach. Mógłbym zacytować wiele wypowiedzi zawartych w pismach chłopskich, potwierdzających tę prawdę. Mówi o niej „Zaranie", „Życie gromadzkie", program „Młodej Polski Ludowej", program PPS-lewicy („Stapińczycy"). A dziś? Czy byłby do pomyślenia fakt, aby partie robotnicze wystąpiły z problemem uspółdzielczenia produkcji wiejskiej bez oparcia organizacyjnego wśród biedoty chłopskiej i wśród dużej części średniorolnych chłopów. Przecież walka klasowa na wsi jest prowadzona właśnie przez sprzymierzeńca robotniczego, przez tego, którego interesowi odpowiada sojusz robotniczo - chłopski".

Sprawą zasadniczą jest problem oceny stosunku chłopów do spółdzielni produkcyjnych. Ob. A. P., nazywając mnie „panem literatem" (słusznie, że w cudzysłowie), zarzuca mi popełnianie błędu przez głoszenie twierdzenia, że nie ma dziś chłopów, którym odpowiada spółdzielcza gospodarka. Pokancerował obywatel przy tym moje wypowiedzi przez dowolne układanie i ujmowanie w cudzysłów zdań. Twierdzeniu temu zapewne przeciwstawia również tego gospodarza, którego spotkał z okazji zepsucia się samochodu i z którym przeprowadziwszy wywiad, wynikami jego obdarzył czytelników „Kuriera Popularnego". I nawet tak mdłe przeciwstawienie miałoby niejaką wagę, gdyby było potrzebne. Ale przecież ja wcale nie twierdzę, że nie ma chłopów zwolenników spółdzielczego gospodarowania. Są. Jest ich dużo. Ba, są nawet **spółdzielnie tego typu**, przy których niestety. Wasz samochód nie chciał się zepsuć. A szkoda, **bo obraz życia i pracy takiej spółdzielni produkcyjnej** przedstawiony w piśmie codziennym bardzo by cieszył wszystkich bojowników socjalizmu. Cóż bowiem z tego, że reporter opisał rozmowę z owym przypadkowo napotkanym chłopem? Jeśli nawet cała ta historia nie jest wyimaginowana (mniejsza o to) i jeśli wypowiedź gospodarza jest autentyczna i szczera, a nie nabijaniem „pana dziennikarza" w butelkę (jak to zdarza się z chytrymi chłopami — szczególnie z takimi, którym się „nieźle" powodzi), to nie może służyć w żadnym wypadku za **podstawę oceny stosunku chłopów do tego systemu produkcji. To jest stosunek pojedyńczy. Jednostkowy. Osobny.** I jeśli przedstawiamy w czasopiśmie jakąś sprawę, to przedstawiamy ją nie przez napotkanego pierwszego z brzegu chłopa — **jednostkę** i jego relacje, a przez **działalność rzeczową w tej sprawie.** Patrząc oczyma tego osobnika na aktualne sprawy wsi nie dostrzeżemy bowiem rzeczy najistotniejszej: **walki klasowej**

I dopiero w odpowiedzi na naszą notę piszecie rozsądnie i o **znaczeniu walki klasowej** i o **wadze organizacyjnego działania** wśród chłopów, doceniacie **akcję wychowawczą** itd.

Nie umiałem jednak znaleźć odpowiedzi: dlaczego „Kurier Popularny" tak sielankowo te sprawy widział w omawianym przez nas uprzednio artykuliku. Dopiero po przeczytaniu atakującej nas odpowiedzi zrozumiałem.

Oto Wy (dziennikarze z „Kuriera Popularnego") możecie mówić o wsi nie jak ślepy o kolorach, gdyż „wielu z Was posiada **normalne kontakty** z chłopami, ponieważ są to po prostu wasi ojcowie, czy bracia". Teraz rozumiem. Oto tkwicie po prostu w ramach **tradycyjnej kultury ludowej**, której głównymi cechami są związki **rodzinno - sąsiedzkie i dworsko - parafialne**, oraz tzw. stosunki **„twarzą w twarz"** i uważacie to za normalne. U ludzi z tego kręgu notuje się ahistoryczność i znaczne trudności w przestrzennej (ponadlokalnej) **obserwacji.** I znowu szkoda, bo gdybyście mogli sięgnąć wzrokiem trochę poza Piotrków Tryb., to zobaczylibyście w miejscowości Ł. **regularną rolniczą spółdzielnię produkcyjną** zorganizowaną przez **b. fornali.. Pepeesowców.** Ich — świadomych, autentycznych zwolenników tego systemu gospodarowania — zapytajcie o trudności w tej sprawie i **im** dajcie do oceny swój reportażyk.

Poza tym pisze pan — drogi panie — że mógłby pan „cytować wiele wypowiedzi zawartych w pismach chłopskich, potwierdzających tę prawdę" (chłopom odpowiada spółdzielcza gospodarka). Mówi o niej m.in. i „program PPS-lewicy" („Stapińczycy"). Co to takiego ten PPS-lewica („Stapińczyk")? Możliwe, że pomylił się panu zecer i korektor. Bywa tak. Ach zarumienić się chyba panu wypadło, gdy przeczytał pan w „Głosie Robotniczym" dosłowny przedruk również tego fragmentu pańskiej odpowiedzi. Ob. K. Z. z „Głosu Robotniczego" (nr 228) w ogóle dziwnie pisze. Bo niedość, że bezkrytycznie przepisuje niebłahe błędy rzeczowe, ale ocena naszej („Wsi" i „Kuriera Popularnego") dyskusji udowadnia, że noty „Kurierowskie lewactwo" nie widział na oczy. Tym bardziej wydaje mi się to podejrzane, że dostrzegłby wtedy fakt, iż nasz tygodnik wydawany jest nie przez „Czytelnika" oraz, że „Wieś" nie jest obca sprawom wsi. Jest tylko nieznana ob. K. Z. A szkoda!

Kp.

FAKTY i ZDANIA

Przez dzisiejszą mapę polityczną Europy i świata przebiegają ostre linie, linie te wyraźnie określają narody ciążące do dwóch orbit, zdeterminowanych odrębnymi, przeciwstawnymi strukturami społeczno-gospodarczymi. Są jednak linie mniej wyraźne, przebiegają one również i wzdłuż narodu, przebiegają między grupami społecznymi, przebiegają przez wyznania i ideologie. Swiat pęka na dwie płaszczyzny: na jednej rządzą siły imperializmu kapitalistycznego, z jądrem Stanów Zjednoczonych, na drugiej mamy Związek Radziecki i demokracje ludowe, postulujące pokój, wolność człowieka i pełne prawo do rozwoju kultur narodowych.

Który z tych światów pozostaje w ataku i jakimi narzędziami działa?

Cele U. S. A.

„Obecny powojenny etap międzynarodowych stosunków gospodarczych charakteryzuje się tym, że USA dążą do zdyskontowania swego dominującego stanowiska na rynku światowym, by przez wykorzystanie trudności gospodarczych innych krajów kapitalistycznych — szczególnie ciężkich na odcinku deficytu bilansów płatniczych — uzależnić te kraje, pozbawić je samodzielności gospodarczej, cofnąć ich rozwój ekonomiczny, uczynić z nich teren eksportu kapitałów, rynek zbytu towarów oraz źródło zaopatrzenia w surowce dla USA. Wyrazem tych tendencji jest m. in. osławiony „plan Marshalla" (Ignacy Rzendowski: „Handel zagraniczny USA a plan Marshalla", „Nowe Drogi" nr. 9).

Jasne są determinanty gospodarczego planu działania imperialistów amerykańskich, o linii postępowania rozstrzygają tu wyłącznie względy ekonomiczne. Im podporządkowuje się całą politykę Departamentu Stanów. Obojętne jest dla polityków amerykańskich, jakie konsekwencje pociągają dla Europy ich plany „pomocy". Kapitał anglo-amerykański odbudowuje przemysł Niemiec Zachodnich. Nie robi tego oczywista z czystej miłości dla tych Niemiec, pragnie z nich uczynić narzędzie własnej ekspansji. Imperializm amerykański wykorzystuje wszystkie możliwe siły w Europie, by wprząc je w swe plany. Rok ostatni wyraźnie nam pokazuje, jak w orbitę amerykańskiej polityki został wciągnięty i Watykan jako narzędzie walki.

Swietnie nas o tym poucza publicysta „Tygodnika Powszechnego" Kazimierz Schwarzenberg-Czerny: „Stąd obserwujemy zjawisko tak zdałoby się dziwne we współczesnej nam epoce, że im więcej państwa pochłaniane są przez postępujący naprzód rozwój techniki nowoczesnej i ściśle z nim się łączące podejście materialistyczne, tym więcej odczuwają one potrzebę oparcia się o wartości duchowe i szukania w nich pionu dla uzasadnienia norm swego postępowania. Że zaś jedynym czynnikiem, który reprezentuje ten pion od XX wieków jest Stolica Apostolska, więc też do niej zwracają się państwa, szukając u niej tego rodzaju poparcia, jakiego nikt inny udzielić nie jest w stanie". („Tygodnik Powszechny" Nr. 33 „Stolica Apostolska jako współczynnik stosunków międzynarodowych").

Nazwijmy te państwa po imieniu: były nimi faszystowskie Włochy, faszystowska Hiszpania, dziś tym państwem są USA. Pan Schwarzenberg-Czerny mówi, że Stany Zjednoczone w 1940 roku nawiązały stosunki dyplomatyczne z Watykanem pod forma „osobistego przedstawiciela Prezydenta F. Roosevelta". — Prezydent Roosevelt zmarł, nastąpił po nim Prezydent Truman, a „osobisty przedstawiciel" nadal urzęduje przy Stolicy Apostolskiej, co „dowodzi tylko jak wielkie znaczenie przywiązuje rząd amerykański do stosunków z Watykanem".

Istotnie, dodajemy od siebie, USA przywiązują duże znaczenie do stosunków z Watykanem, tylko że funkcja „osobistego przedstawiciela" cokolwiek dziś się zmieniła.

USA swoją sprawę rozgrywają Niemcami. Fakty: wielcy przemysłowcy niemieccy odpowiedzialni za zbrojenia — uniewinnieni, odbudowuje się wielki przemysł niemiecki, który ma produkować miliony ton stali rocznie, domyślamy się na jakie cele tę stal się przeznacza, nad Ludwigshafen niedawno unosiły się potworne dymy, nietrudno się domyśleć, jakie materiały spowodowały wybuch. Równocześnie gdy Ludwigshafen płonął, w Filadelfii odbyła się konferencja „dozbrojenia moralnego", skład osobowy tej konferencji doskonale orientuje nas, co mogło być przedmiotem jej rozważań. A więc Niemcy. Na jakich siłach w nich zagrać? Co robią biskupi niemieccy?

Papież i episkopat katolicki

W lutym 1946 roku do Świętego Kolegium w Watykanie wprowadzono nowych kardynałów. Wśród nich znalazło się trzech Niemców: arcyb. Kolonii ks. Józef Frings, biskup Münster ks. Galen oraz bisk. Berlina ks. von Preising. Biskupi ci po tym akcie zaczynają działać na polu międzynarodowym, zaczynają przemawiać do narodu niemieckiego. Ks kardynał Frings ogłasza list w strefie brytyjskiej, w którym oświadcza: „kilka tygodni temu byliśmy zmuszeni dać wyraz naszej opinii o wołających o pomstę do Nieba wypadkach na Wschodzie Niemiec, szczególnie na Śląsku i Sudetach, gdzie ponad 10 milionów Niemców zostało brutalnie wyrzuconych z ich domów, bez poszanowania osobistej własności. Pióro nasze nie jest zdolne do opisania tego niewypowiedzianego, nędznego gwałtu i zupełnego nieposzanowania ludzkości i prawa. Wszyscy ci ludzie zostali stłoczeni w pozostałej części Niemiec i pozbawieni przedmiotów pierwszej potrzeby, a nawet żywności. Jest nieuniknione, że te masy wygnańcze stanowić będą poważne niebezpieczeństwo dla pokoju". (Grożą, przyp. red.) („Przegląd Zachodni" Nr 7 i 8; Aleksander Rogalski: „Akcja polityczna niemieckiego katolicyzmu").

Arcybiskup Konrad Groeber w liście pasterskim mówi: „Czy to jest po chrześcijańsku i po katolicku? Czy da się to pogodzić z wdzięcznością, którą Polacy winni są całemu szeregowi kapłanów niemieckich?" (zwłaszcza kapłanów zakonu krzyżackiego, przyp. red.), mówi dalej: „Na skutek takiego traktowania narodu niemieckiego w całości posiano zatrute ziarno, które ku naszemu ubolewaniu zaczyna już kiełkować i róść. Nie potrzebuję wypowiadać się jaśniej. Twarde ciosy młota nie zmiękczą ani nie ugną niemieckiej stali, ni niemieckiego ducha... Jeżeli zapomnielibyście o Śląsku i o innych krajach, z których was wyrzucono, nie bylibyście godni własnej swej ojczyzny. Zapomnieć nie można i nie należy" (tamże).

Jesienią 1946 roku arcybiskup Konrad Groeber pisze nowy list pasterski, w którym atakuje Związek Radziecki i Polskę. W rozmowie z publicystą „Ce Soir" oświadcza: „Polska napadła na Niemcy i odpowiedzialna jest za drugą wojnę światowa". Rozmowę kończy zdaniem: „Niemiecka stal jest twarda, gdy się w nią uderza" (tamże).

Ci sami biskupi wyjeżdżają do Anglii, wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Przemawiają. Są życzliwie słuchani. Kampania jasno się tłumaczy. Wkrótce będą jej rezultaty. Znamy wszyscy list Ojca św. Piusa XII do episkopatu Niemiec. Przypomnijmy kilka jego zdań. Po oświadczeniu papieskim o miłości i współczuciu dla chrześcijańskiego narodu i ludu, „który w niezmierzonych próbach i cierpieniach naszych czasów ma podwójny tytuł do tego, aby wiedział, że serce i pasterska Opieka Namiestnika Chrystusa są mu bliskie". Papież oświadcza: „na szczególne względy będą zawsze zasługiwać uchodźcy ze Wschodu, którzy ze swej ojczyzny na Wschodzie przymusowo i z wywłaszczeniem bez odszkodowania usunięci i do niemieckich stref przeprowadzeni zostali. Kiedy do nich mówimy, to nie zajmuje nas tak dalece punkt prawny, gospodarczy i polityczny tego niebywałego w historii dziejów Europy wydarzenia. O tych punktach widzenia rozsądzi historia i obawiamy się, że rozsądzi surowo" (metoda groźby, przyp. red.). („Dziś i Jutro" Nr 19 (128).

Nie znamy żadnej oficjalnej enuncjacji papieskiej w sprawie zagrabionej przez Włochy faszystowskie Abisynii mimo że był to kraj katolicki, przeciwnie wiemy o błogosławieństwie Ojca św. dla żołnierzy Mussoliniego, wiemy o błogosławieństwie papieskim dla frankistowskich falangistów; nie znamy żadnej enuncjacji, która by wyraźnie i ostro protestowała przeciwko milionowym mordom Polaków w obozach koncentracyjnych. Polska jest narodem w dużym procencie katolickim, jej tradycje walki „za wiarę" są znacznie większe niż tradycje narodu niemieckiego. W dzisiejszej sytuacji wedle oświadczenia Ojca św. na miłość i sympatię zasługuje właśnie społeczeństwo niemieckie, którego sfery katolickie w mundurach SS-manów tak samo paliły i zamieniały w gruzy świątynie chrześcijańskie w całej Europie, tak samo popędzały do pieców krematoryjnych miliony Żydów z całej Europy.

Imperializm anglo-saski listami biskupów niemieckich, listami Ojca św. wbija klin w społeczeństwa narodów demokracji ludowych, pragnąc wygrać autorytetem papieskim katolików w tych krajach dla swojej sprawy.

Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rekonstrukcji

Ta międzynarodowa instytucja powstała dla celów bardzo szlachetnych, miała służyć pomocą finansową najbardziej zniszczonym wojną krajom. Co myśmy z tej instytucji otrzymali? Minister Przemysłu i Handlu Hilary Minc na III Zjeździe Przemysłowym w Szczecinie mówił: „Jesteśmy członkami Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rekonstrukcji. Chociaż niewątpliwie mieliśmy prawo pierwszeństwa, jako najbardziej poza Związkiem Radzieckim zniszczony kraj w Europie, stanęliśmy cierpliwie i skromnie w dość długim ogonku petentów o pożyczki tego Banku. Mogło się to nam podobać lub nie, ale zajęliśmy nasze miejsce w ogonku i uważaliśmy, że to jest w porządku. Ale kiedy się zaczyna przestawiać ogonek, kiedy się stawia na pierwszym miejscu tych, co przyszli później i kiedy się usiłuje dopuścić do skarbca dwa razy niektórych, kiedy myśmy nie zostali dopuszczeni ani razu, to my zaczynamy uważać, że coś już w tej sprawie jest nie w porządku.

Myśmy weszli do Banku, zgodnie z jego założeniami i z jego statutem, jako do międzynarodowej organizacji gospodarczej, która opiera swoje działanie na motywach gospodarczych. Kto może zaprzeczyć, że wszystkie, absolutnie wszystkie względy gospodarcze wymagają udzielenia nam pożyczki? Świadczą o tym niezliczone raporty, ekspertyzy, dane, referaty, cyfry, materiały. Kto może zaprzeczyć, że udzielenie pożyczki polskiemu przemysłowi węglowemu, polskim portom daje pewność, absolutną pewność szybkiego wzmożenia eksportu węgla, który jest tak potrzebny dla szybkiej odbudowy Europy? Nie ma i nie może być względów gospodarczych, dla których przedłuża się udzielenie nam tej pożyczki. Chcemy wierzyć, że Międzynarodowy Bank Odbudowy będzie się kierował w sprawach udzielania pożyczek państwom, które do niego należą — względami gospodarczymi, jak wierzyliśmy w to, wstępując do tego Banku, zgodnie z jego zasadniczymi założeniami".

Na Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rekonstrukcji składają się kapitały państw zachodnio - europejskich. Demokracje zachodnie szermują tam gdzie trzeba hasłami chrześcijańskimi, szermują odwoływaniem się do poczucia ludzkości. Polska, kraj najbardziej zniszczony wojną, Polska o zburzonych miastach, zdewastowanych całych połaciach kraju, pozbawiona urządzeń naukowych i dzieł sztuki, uszczuplona o 6 milionów ofiar ludzkich — nie otrzymuje na pokojową odbudowę kraju z Banku Rekonstrukcji i Odbudowy ani grosza. Polsce wstrzymuje się pomoc UNRRA-y; w oczach Zachodu po ulicach naszych miast krążą dzikie zwierzęta, a na ludzi czyha śmierć z każdego kąta. Demokracje zachodnie wybaczają już Niemcom ostatnią wojnę. Mają w tym, jak już powiedzieliśmy, własny cel. Demokracje zachodnio - europejskie ze Stanami Zjednoczonymi na czele nie mogą znieść ustroju społecznego, który wyklucza wyzysk człowieka przez człowieka. Imperializm kapitalistyczny całą swoją nienawiść zwraca dziś przeciwko Związkowi Radzieckiemu i demokracjom ludowym. Frederik L. Schuman w artykule „Dyplomacja szalbierzy" mówi: „Marzenia tych, którzy przez 30 lat śnili o zniszczeniu Związku Radzieckiego są jednak nieśmiertelne. Marzyciele i kombinatorzy, którzy raz już wywołali katastrofę, doprowadzili do klęski, a ratunek swój zawdzięczają jedynie bohaterstwu i poświęceniu Związku Radzieckiego — nadal śnią swe dawne sny". („Nowiny Literackie" Nr 30 (71).

Odpowiedź

Czy wojna leży w interesie narodu amerykańskiego, czy leży w interesie amerykańskiej burżuazji przemysłowej? Społeczeństwo amerykańskie otumaniane jest dzisiaj według najlepszych wzorów propagandy hitlerowskiej. Działa na terenie USA specjalna komisja dla tępienia żywiołów antyamerykańskich (czytaj antykapitalistycznych). Prześladowani są intelektualiści i artyści za wyznawanie postępowych poglądów. Frederik L. Schuman pisze: „Amerykanie stoją w obliczu decyzji, którą muszą powziąć w roku 1948. Jeżeli wybiorą rządy terroru, strachu, nienawiści, ciemnoty, chciwości i głupoty — wydadzą prawdopodobnie wyrok śmierci na siebie, a kto wie czy i nie na całą ludzkość. Jeżeli postanowią wziąć się poważnie do rozwiązania problemów ery atomowej i powierzą władzę ludziom, którzy zachowali wiarę, miłość, rozum, wspaniałomyślność i inteligencję — błyśnie nam nadzieja lepszych czasów i lepszego życia przez wszystkie lata, które przyjdą. Wybór jest trudny, ale nieunikniony. Gdy będzie trafny — przyniesie wspaniałe owoce, gdy będzie błędny — może być fatalny w skutkach.

Czy Ameryka potrafi dokonać właściwego wyboru — zależy to m.in. od tego, czy zdoła trafnie ocenić politykę swego Departamentu Stanu za rządów Trumana i Marshalla" (tamże).

Kapitalizm w swojej fazie imperialistycznej mobilizuje wszystkie środki, przy pomocy których mógłby utrzymać się na powierzchni. Rzuca dziś milionowe sumy na badania naukowe, by wyniki ich zużyć dla swoich ohydnych celów. Mobilizacja dzisiaj musi być dwustronna. Na konferencję liberalistycznej młodzieży w Londynie odpowiadamy Międzynarodową Konferencją Młodzieży Pracującej — w Warszawie. Tajnej konferencji w Filadelfii „dozbrojenia moralnego" odpowiadamy Swiatowym Kongresem Intelektualistów w Obronie Pokoju. Wysiłkom naukowców amerykańskich, oddanych w służbę kapitalizmu musimy przeciwstawić wysiłki polskich badaczy, naukowców Związku Radzieckiego i narodów demokracji ludowych. Wyrażają to słowa profesora politechniki warszawskiej dra Wojciecha Świętosławskiego na II Ogólnokrajowej Konferencji Rektorów i Profesorów Wyższych Uczelni: „Dla wszystkich stało się jasne, że miliardowe sumy dolarów przeznaczone przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej na popieranie badań naukowych wszelkich kierunków, od humanistycznych począwszy, skończywszy na bezpośrednio związanych z rozwojem gospodarczym a także militarnym, zużyte zostaną na nadanie nienotowanego dotychczas rozwoju w nauce i technice. Stało się dla wszystkich zrozumiałe, że chodzi tu o wyprzedzenie wszystkich narodów i to w takim stopniu, aby praktycznie było niemożliwe prześcignięcie tego kraju zarówno pod względem militarnym jak też przemysłowym. Fakt ten zaważy niewątpliwie na dalszym biegu wypadków i pobudzi inne mocarstwa do podjęcia rzuconej rękawicy. Będą dokonane wielkie wysiłki, aby się nie dać wyprzedzić przez to mocarstwo, a niewątpliwie będzie dążność do wyprzedzenia go, mimo że w chwili obecnej kroczy ono na przedzie zarówno pod względem twórczości jak też wprowadzania nowych metod wytwarzania. Rozpocznie się, a raczej już się rozpoczęła, walka mocarstw o prymat w twórczości, wynalazczości i w stopniu uprzemysłowienia poszczególnych wielkich krajów".

M. K.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza"

A. Dorabialska — Marja Skłodowska Curie i Piotr Curie, str. 144.

J. Cronin — Gwiazdy patrzą na nas, tom. I, str. 282, tom. II str. 295.

Wolter — Tak toczy się światek, str. 256.

Dr H. Wereszycki — Historja Polski 1864 — 1918, str. 368.

Janina Przeworska — Serca pod zgrzebnym płótnem, str. 157.

Murger — Cyganeria, str. 401.

Irwing Stone — Pasja życia, str. 495.

Kuncewiczowa Marja — Klucze.

Kuncewiczowa Maria — Cudzoziemka, str. 243.

Broniewski Władysław — Wiersze zebrane str. 207.

Rusinek Michał — Burza nad brukiem, str. 179.

Borowski Tadeusz — Pożegnanie z Marią, str. 179.

KOMUNIKAT

Komitet Organizacyjny VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, który odbędzie się we Wrocławiu 19—22 września rb., zawiadamia, iż wobec upływu terminów zgłoszeń uczestnictwa oraz przekroczenia przewidywanej liczby zapisów, nie może zapewnić osobom obecnie zgłaszającym się bezpłatnego zakwaterowania i wyżywienia. Z tym zastrzeżeniem Biuro Zjazdu we Wrocławiu (Szewska 49) nadal przyjmuje zapisy. Wkładkę zjazdową (1000 zł. z wydawnictwami. 500 bez wydawnictw) należy wpłacać na konto PKO Wrocław. VIII-1862.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł; 1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł, kwartalnie 180.—zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

D—030240